57/5 D
f.3

1 zesz. 3.

Le mie prigioni I.

1

Pisane we wrześniu, październiku i listopadzie 1915
w Bad Hall (Górne Rakusy).

Aresztowanie.

~~Za mnie przygoni~~.

Głośny akt 16 sierpnia 1914. tworzący legiony polskie, przyszedł do skutku także częściowo przez moje poświęcenie się i brak chęci błyszczenia. Stronnictwa, zjednoczone w Komisyi tymczasowej, a mianowicie socyaliści zagrozili zerwaniem układów z Komitetem Centralnym, w razie gdyby ten upierał się przy wyborze mojej osoby do Naczelnego Komitetu Narodowego. A wybór ten należał mi się z kilku powodów, z których każdy wystarczał ~~dla~~ sam jeden do umieszczenia mnie między kierującymi mężami.

Byłem więc przedewszystkiem prezesem stronnictwa chrześcijańsko ludowego, a tworzenie Komitetu odbywało się na podstawie przedstawicielstwa stronnictw. Tymczasowiacy dla zagarnięcia więcej miejsc powymyślali różne stronnictwa, podzielili się na demokracyę radykalną, postępową, lwowską, krakowską, niepodległościową itd a nie chcieli uznać istnienia stronnictwa, które w owym roku miało święcić jubileusz czterdziestoletniej nieprzerwanej swojej działalności i tyleż letniego istnienia swego organu „Wieniec-Pszczółka." Wielka jest siła semickiej nienawiści. Stapińszczyznę wciągnięto jako osobne stronnictwo do składu Komitetu, mnie ostentacyjnie pominięto.

Mimo prezesury chrześcijańsko-ludowej nie przestałem być członkiem stronnictwa demokratyczno-~~ludowego~~ narodowego. Stało się to przez mój wyraźny upór. Kiedy w październiku 1911. pojechałem do Krakowa, aby z konającym Stojałowskim omówić ~~p~~ objęcie przewodnictwa w jego stronnictwie, grupa poselska narodowo-demokratyczna dla ułatwienia mi nowego stanowiska uchwaliła ogłosić, że już wystąpiłem z jej związku. Za powrotem do Wiednia przeprowadziłem unieważnienie tej uchwały, bo celem moim było zjednoczenie ile możności wszystkich stron=

nictwo ludowych, a nie przeprowadzanie grobli granicznej między dwoma tak bliskiemi sobie. Wogóle liczba wielka stronnictw ludowych świadczy o małem wyrobieniu politycznem, oraz o wygórowanych ambicyach jednostek, a odbiera sprawie ludowej wszelką siłę przez rozbicie. Mnie było całkiem obojętne, czy będę przewodniczącym, czy szeregowcem: chodziło mi o rzecz i ideę.

Nic też nie miałem przeciw temu, że w stronnictwie demokratyczno narodowem chciano mnie pomniejszyć, że w stworzonym związku tych dwu stronnictw wyznaczono mi szarą rolę trzeciego czy czwartego wiceprezesa: łączyć, nie rozdzielać, to był mój cel.

Otóż jako członek, ba współfirmant stronnictwa demokratyczno narodowego, które w Komitecie centralnym miało tak decydujący głos jak socyaliści w Komisyi tymczasowej, jako redaktor, osiadły w Krakowie powinien byłem dostać się do tego naczelnego Komitetu tem więcej, że właśnie dla sekcyi zachodniej brakowało ludzi z narodowej demokracyi tak dalece, iż w końcu zmuszono Dr^a^ Głąbińskiego, aby przyjeżdżał do Krakowa i tutaj reprezentował stronnictwo w sekcyi Komitetu. Byle tylko mnie nie wpuścić, to było hasło tymczasowiaków. Inaczej socyaliści zapowiedzieli zerwanie układów.

Do Komisyi, przygotowującej należał z naszego ramienia hr. Skarbek. Późnym już wieczorem wyszedł do mnie z oznajmieniem, iż ode mnie zależy jedność narodowa lub jej rozbicie. Gorzko mi było zgodzić się na wymazanie mego stronnictwa z rzędu polskich stronnictw; przykro dać się wyłączyć w tak

wielkiej chwili od pracy i od głosu w sprawach, gdzie chodzić będzie o cały naród, o całą przyszłość. Trudno opisać tę boleść, jakiej doznawałem, gdy sprawę tak postawiono, tem więcej, że zdawało mi się, iż w tym rządzie narodowym jestem naprawdę potrzebnym i mógłbym być pożytecznym.

Do tego i osobiste uczucia. Wierzyłem, że Dr Leo, przyjechawszy z Wiednia z projektem tworzenia legionów, musiał przywieźć ważne obietnice, których opublikować przed czasem nie wolno. Wprawdzie mój sceptycyzm mówił mi, iż teki Dr Leo chce tylko okazać się rządowi potrzebnym dla otrzymania upragnionej teki ministra i handluje zapałem, gorączką, nadziejami polskiemi – ale wnet przypominałem sobie upomnienia Dra Grabskiego, który kazał mi wierzyć, że w chwili kiedy krew polska się leje, kiedy chodzi o przyszłość narodu, nawet w największym szubrawcu i karyerowiczu budzi się zasypane polskie sumienie i poczucie odpowiedzialności. Wbrew mojemu sceptycyzmowi, który mi tę scenę ukazywał jako niegodną komedyę lichego karyerowiczowstwa, postanowiłem wierzyć ciemnym niedopowiedzeniom Dra Leo, bom tej wiary potrzebował i pragnął.

Liczyłem też na szczerość patryotyczną socyalistów. Wiedziałem, czemu przypisać ich ustępliwość i skłonność do zgody. Jeszcze przed południem oświadczyli, że zgoda możliwa jest pod warunkiem, że cały naród uzna zakonspirowaną komisyę tymczasową za rząd narodowy, a p. Józefa Piłsudskiego za dyktatora.

Tymczasem po południu przyszła odezwa tego dyktatora, ogłoszona przy przejściu dotychczasowej granicy pod Krzeszowicami, gdzie ogłasza się komendantem narodu, wypowiada posłuszeństwo

komisyi tymczasowej, a za władzę swoją uznaje tajny rząd narodowy w Warszawie. To był pierwszy wypadek, który usposobił socyalistów pojednawczo. Drugi był jeszcze poważniejszy. Oto strzelcy, będący już około 10 dni za kordonem, zepsuli plan działania wypracowany przez sztab austryacki, doprowadzili do niepotrzebnej i nieszczęśliwej bitwy, w której śpieszący im na ratunek wbrew swojej marszruci jenerał Cordé został poważnie raniony, a austryacki plan zajęcia obu brzegów Wisły udaremniony. Właśnie około szóstej po południu przywieziono rannego jenerała do Krakowa.

Władze wojskowe były rozgoryczone. Mówiono o rozbrojeniu i rozwiązaniu niesfornych oddziałów strzeleckich. Aby tę formacyę uratować, socyaliści zgodzili się wieczorem i na wcielenie strzelców w legiony i na wyznaczenie dowódcy legionów przez władze wojskowe austryackie. Był to niby tryumf myśli narodowej, jedności formacyi militarnych polskich, oraz wyrzeczenie się tajnych, samozwańczych rządów narodowych, a poddanie się pod jawny, legalny, zgodnie obrany Naczelny Komitet narodowy. Zwyciężało nasze pojmowanie sprawy.

A ponieważ twarda konieczność zmusiła socyalistów do tej zgodliwości, ponieważ polityczno organizacyjną działalność obejmował jawny Komitet naczelny, wydawało mi się, że socyaliści zaniechają swoich wybryków, a przestaną i członkowie Komitetu nie pozwolą na żadną samowolną akcyę, niezgodną z interesem narodowym.

I właśnie dlatego, że w to wierzyłem, było mi nad wyraz boleśnie być jako trędowaty wykluczonym od tej pracy,

która zdawała się zapowiadać patryotyczne i obywatelskie kierownictwo narodu.
Toteż z prawdziwym bólem zgodziłem się na usunięcie nietylko mnie, ale i mojego stronnictwa z tej roboty, byle tylko nie rozbijać zjednoczenia narodowego w tak ważnej chwili. Niech to zjednoczenie dokonywa się po moim trupie: Tibi Patria!
Natychmiast po utworzeniu Komitetu naczelnego zgłosiłem się przez prof. Zentysa, potem przez inż. Natansona, następnie przez prof. Grabowskiego i przez inż. Kucharskiego do bezpłatnej pracy w biurach naczelnego Komitetu, chociażby na najpodrzędniejszem stanowisku, ale nie zostałem przyjęty. Blok z Komisyą tymczasową uznali, że w budowie przyszłości narodowej nie może być ani jednej cegiełki z mojej ręki. Zrozumiałem nareszcie, że zemsta nieubłagana i nieustająca ściga mnie z ręki tych przeciwników politycznych, którzy przed powstaniem Polski już mnie niejako sądem skorupkowym wygnali z jej granic. Mianowano mnie tymczasem moralnym banitą.
Jakkolwiek przykrym był ten stan człowieka, wyjętego spod praw, wkrótce przestałem smucić się z udaremnienia moich zabiegów. Bardzo rychło pokazało się, że większości panów z zachodniej sekcyi nie chodziło ani o sprawę narodową, ani o Polskę, lecz wyłącznie o ich własne partyjno polityczne interesy. Strzelcy, kierowani przez socyalistów, nie uznali władzy naczelnego Komitetu i gospodarzyli po swojemu w Kieleckiem, rekwirując żywność za darmo od chłopów polskich i tracąc w samozwańczych sądach polowych swoich przeciwników politycznych. Skargi, przychodzące od chłopów i obywateli wiejskich do Dra Leo i do Dra Jaworskiego, nie znajdowały ucha, ponieważ większość sekcyi zachodniej solidaryzowała się z tem niekarnem postępowa-

niem strzelców, mając na oku pognębienie przeciwników politycznych, w pierwszym rzędzie narodowych demokratów. Stanowisko przedstawicieli stronnictw nieblokowych stawało się coraz trudniejszem w sekcyi, coraz widoczniej okazywało się, że większość chce ich zmusić do ustąpienia, albo też usunąć samowolnie, ażeby wobec rządu ~~narodowego~~ państwowego objąć monopol reprezentacyi narodu polskiego i wytworzyć w Wiedniu przekonanie, iż członkowie stronnictw nie blokowych albo są notorycznymi zdrajcami stanu albo przynajmniej podatnym materyałem na zdrajców. Jakoż po niespełna dwóch miesiącach beznadziejnej walki w obrębie sekcyi pp. Rozwadowski, Głąbiński, Stroński, Surzycki zgłosili, że ustępują z sekcyi i z naczelnego Komitetu.

Patrząc codziennie na te sromotne walki, rychło doszedłem do przekonania, że socyaliści wyrządzili mi przysługę mimowolną przez niedopuszczenie mnie do pracy w Komitecie i przestałem trapić się tą niby narodową klątwą, jaką mnie obłożyli. Równocześnie jednak widziałem jasno, że skoro tak bezwzględnie niszczą przeciwników politycznych, to z pewnością o mnie nie zapomnieli i obmyśliwają dla mnie krwawą zemstę.

W jaki sposób ją wykonają, nie przeczuwałem jeszcze. Znając ich tchórzostwo byłem pewny, że wobec obowiązujących w Krakowie sądów doraźnych nie odważą się wykonać na mnie ponownego napadu, bo chodzi o ich głowy na wypadek urządzenia rozruchu. Zresztą Dyrekcya policyi wydała mi wojenny paszport na broń, więc chodziłem sobie ostentacyjnie z browningiem u pasa, wiedząc, że nie znajdzie się między nimi bohater, któryby naraził swoje życie, aby mnie zgładzić lub skaleczyć. Cóż więc mogli mi zrobić? Zadenuncyo-

wać przed władzami jako zdrajcę czy nielojalnego, na to nie było żadnego materyału. Nie tyle z przezorności, ile z wrodzonego charakteru, który mi zawsze kazał skrupulatnie stosować się do obowiązujących ustaw (nie wyrzekając się prawnej pracy nad zmianą ustaw niewygodnych) od samego początku wojny powiedziałem sobie: Teraz nie pora na rozważanie, krytykę i rozprawy, teraz trzeba bić i milczeć. Nie wdawałem się zatem w żadne rozmowy, z którychby można było wyciągnąć bodaj cień śladu dla obwinienia mnie o jakieś knowania czy ~~po~~ bodaj o usposobienie niezgodne z obowiązkami obywatela. Przy najdoskonalszym systemie szpiegowskim, przy domyślności cenzora z czasów metternichowskich nie możnaby mi było zarzucić nie już czynu, ale słowa, gestu, z którego możnaby wysnuć bodaj pozór do śledztwa i dochodzeń, a cóż dopiero do oskarżenia lub aresztowania. Uważałem też na siebie z niezwykłą ścisłością z dwóch powodów: raz że mi się zdawało, iż będę po wojnie potrzebnym narodowi, zatem obowiązkiem moim jest oszczędzać siebie na tę potrzebę, a powtóre bawiła mnie ta gra z przeciwnikami, podśmiechiwałem się z ich bezsilnej złości, z ich daremnej chęci szkodzenia mi i chciałem za każdą cenę zostać w tej grze zwycięzcą.

Wiedząc, że z powodu zamknięcia nam przez oszczerstwo dostępu do rządu, z powodu surowej cenzury nie mogę w niczem na teraz służyć narodowi, ze spokojem zabrałem się do studyów, które przerwałem przez czas posłowania. Żyjąc jak pustelnik, nie nudziłem się bynajmniej. Tak przeszedł sierpień i część września.

Wreszcie ogłoszono przymusową ewakuacyę Krakowa. W ostatni dzień ewakuacyjny 19. września wyjechałem z Krakowa do Białej. Smutne miałem przeczucia, bo pogoda ranna zepsuła się, a od Dziedzic do Bielska lał deszcz i zimnym, dżdżystym wieczorem zajechałem do Białej. Była to dla mnie zabobonna zapowiedź, że mój pobyt w Białej skończy się smutno.

Mój kolega uniwersytecki dyr. Ignacy Stein oddał mi pokoik w gimnazyum T. S. L. na mieszkanie, a kiedy krajowe władze galicyjskie

pod wpływem wypadków wojennych przeniosły się do Białej i Rada Szkolna Krajowa zajęła sale gimnazyalne dla biura, dyrektor wyprawił naprzód rodzinę do Frohnleiten w Styryi, a potem i sam wyjechał, poruczając mi zarząd gmachu.

Bialscy socyaliści patrzyli początkowo bardzo krzywo na mnie, potem w miarę postępu wojsk rosyjskich łagodnieli. Szubrawcy!

W Białej spotykałem się czasem z kilku przyjaciółmi, ale nie rozmawiałem z przezorności o polityce ani strategii, a kiedy mnie wyciągano na słowa, mówiłem wyrażeniami komunikatów sztabu generalnego lub półurzędowych gazet. Uczyłem się wiele, odzwyczajałem się od tytoniu i robiłem ćwiczenia wedle metody P. Müllera. Interesowałem się mocno wypadkami wojennymi, ale wysnuwane wnioski zatrzymywałem skrupulatnie dla siebie.

Dnia 26 listopada byłem z kilku przyjaciółmi wieczorem w kawiarni europejskiej w Bielsku, a kiedyśmy wychodzili, Niemcy siedzący przy jednym stole pod wodzą znanego mi z twarzy ale nie z nazwiska sollicytatora adwokackiego zaczęli na nas wychodzących skandalicznie wołać: „Pfui! Verräter." Odnosiło się to przedewszystkiem do mnie i do prof. Podgórskiego. Postanowiliśmy wywiedzieć się o nazwiska i zaskarżyć, aby na podstawie wyroku sądowego mieć spokój od prusofilskich Niemców w Bielsku. Aleśmy już nie znaleźli czasu na wykonanie postanowienia.

Dnia 28 listopada 1914 o godzinie pół do ósmej rano odezwało się pukanie do drzwi dyrektorskiego mieszkania, które zajmowałem i weszło dwóch żandarmów w pełnym rynsztunku, policyant miejski i wyrobnik. Wachmistrz powiatowy ogłosił mi, że na podstawie prawa ma u mnie przedsięwziąć rewizyę i żąda wszelkich wyjaśnień. Zapytałem,

czy ma rozkaz na piśmie. Odpowiedział, że ma, ale nie może pokazać. Zaznaczyłem, że uważam to postępowanie za bezprawne, ale ze względu na stan wojenny nie stawiam oporu.

Zaczęło się więc przeszukiwanie, przyczem zabrano wszystkie listy, wszystkie druki, a między innymi kilka tysięcy sprawozdań sekcyi wschodniej o rozwiązaniu legionu wschodniego. To sprawozdanie dostało się do mnie w sposób zagadkowy. Siedziałem niegdyś w kawiarni, gdy nieznany mi młodzieniec przystąpił do mnie i powiedział, że właśnie złożył mi w mieszkaniu druki od p. Domagalskiego. Przyjąłem do wiadomości, jako rzecz obojętną, bo poseł ma czas przyzwyczaić się do odbierania nieskończonej ilości druków. Było mi to tak obojętne, że dopiero w kilka dni później odkryłem pod stołem obcy pakiet. Po rozerwaniu zobaczyłem, że to jest sprawozdanie sekcyi wschodniej N. K. N. Ale że w tym czasie przyszła do mnie większa liczba sprawozdań sekcyi śląskiej N. K. N. nie byłem pewny, która przesyłka pochodzi od p. Domagalskiego. Logicznem wydało się, że sprawozdanie śląskie jest od niego, a w takim razie sprawozdanie sekcyi wschodniej musiał do mnie przemycić p. Dziega, który w owych czasach bawił w tamtych stronach, a którego niesympatycznym rysem była zawsza tajemniczość, niedomawianie, ~~rysy~~ ruchy i gesty konspiratora, dla takiego, co to ma konspiracyę wypisaną na twarzy.

Nie przykładałem do tego żadnej wagi. Przeczytałem rzecz pobieżnie i nie znalazłem w tem nic niebezpiecznego. Wydało mi się logicznem, że skoro rząd nie pozwolił na obwołanie cesarza królem polskim, to i zaniechano myśli tworzenia legionu czyli wojska polskiego. Przytem rzecz była drukowana, a jako kilkuletni zarządca Drukarni polskiej wiedziałem, że tylko dozwolone przez cenzurę druki są możliwe. Tembardziej w wojennym czasie.

Rozdałem więc kilka egzemplarzy przyjaciołom, widząc w sprawozdaniu odpowiedź na nikczemną socyalistyczną publikacyę: „Pod sąd", gdzie się sekcyi wschodniej przypisuje zdradziecki zamiar rozbicia legionów ~~na~~ na rozkaz Rosyi.

Jeden z przyjaciół zwrócił mi uwagę, że na tym druku nie ma

wyrażonej drukarni, w której go odbito. To mnie zastanowiło. Odtąd może przez miesiąc nie dałem już nikomu ani egzemplarza, chociaż jeszcze nie widziałem w tem nic niebezpiecznego, boć sprawozdanie pisane jest w pierwszej osobie przez: „ja," a wszystkim wiadomo, iż szefem departamentu wojskowego w sekcyi wschodniej był hr. Skarbek, czyli, że on to pisze i on za to odpowiada. Tylko ponieważ brak nazwiska drukarni jest ustawową niepoprawnością, nie dawałem więcej nikomu tego druku, bo nie lubię niepoprawności.

Te sprawozdania więc, o których jeden pakiet był nierozpieczętowany, a drugi ledwie napoczęty, chwycono jako łup drogocenny.

Przez cały czas rewizyi, która trwała przeszło pół godziny, latały mi po głowie rozmaite przypuszczenia. Czy to jest zapowiedź aresztowania, czy też tylko szukanie obciążających dowodów na Skarbka, o którego aresztowaniu opowiadano. Teoretycznie liczyłem się od 16. sierpnia z możnością aresztowania na denuncyacyę socyalistów do tego stopnia, że z odjeżdżającym dyr. Steinem omówiłem był i tę ewentualność odnośnie do zarządu gmachu T. S. L. — praktycznie trudno mi było przypuścić tę możliwość, boć od chwili wprowadzenia ustaw wyjątkowych naprawdę nie zrobiłem ani nie powiedziałem nic takiego, coby mogło upozorować jakiekolwiek aresztowanie. Jako poseł uważałem zaś, że rząd przystąpiłby do tak gwałtownego czynu tylko po należytej, głębszej rozwadze, a ta daje mi widoki pozostania na wolności.

Przeszukano już wszystko. Druki zabrał wyrobnik w wór i odszedł z policyantem miejskim, żandarmi pozostali i składali moje listy i rękopisy. Na chwilę wyszli do drugiego pokoju na krótką naradę, a gdy wrócili, wachmistrz powiatowy oświadczył mi, że jestem w imieniu prawa aresztowany. Zapytałem, czy ma rozkaz, odpowiedział, że ma, ale nie może go pokazać.

A więc stało się. Po czterdziestu latach życia zostałem aresztowany nie przez pomyłkę, ale na podstawie rozkazu obmyślanego i wydanego z rozwagą. Jestem więc więźniem pierwszy raz w życiu.

Krew mi napłynęła do policzków i małżowin usznych, ale ciągle powtarzałem sobie po cichu: „No i cóż?”

Zapytałem, co mam teraz robić? Tymczasem towarzyszący wachmistrz nałożył bagnet na karabin i w pełnym rynsztunku pilnował więźnia. Wachmistrz powiatowy, jakiś ludzki człek, omawiał sposób dalszego postępowania. Mam być odwieziony do Krakowskiego sądu garnizonowego w Morawskiej Ostrawie, a że pociąg odchodzi dopiero o dwunastej, więc tych kilka godzin przeczekam w domu pod strażą. Polecił wachmistrzowi, który mnie pilnował, aby tak przy przeprowadzeniu na kolej, jako też podczas całej podróży starał się unikać zbiegowiska, żeby bagnet nałożył aż w Ostrawie, a całą podróż, żebyśmy odbyli, zachowując pozory znajomych, którzy jadą w jedną drogę. Polecił mi też wziąć nieco bielizny, bo tej w więzieniu nie dostanę.

Potem obaj zaczęli spisywać protokół z odbytej rewizyi, przyczem miałem czas zaglądać im przez ramię na rozkaz aresztowania. Niestety była to druga strona arkusza, na której u góry było zaledwie dwa wiersze po niemiecku i podpisany Dr. Kazimierz Fedorowicz, kierownik starostwa. Ten mnie na własną odpowiedzialność nie kazał z pewnością aresztować, zwłaszcza, że namiestnik mieszkał w Białej. Przypuszczałem więc, że Niemcy z Bielska, którzy przed dwoma dniami urządzili przeciw mnie demonstracyę, zadenuncyowali coś na mnie, a namiestnik Korytowski, znany z nadskakującej ustępliwości wobec Niemców, pospieszył zaraz z rozkazem, aby im się przypodobać. Ten domysł wydał mi się najtrafniejszym.

Było mi gorąco. Wojna, ustawy wyjątkowe nie dają człowiekowi otuchy i wiary w siebie. Kto wie, co z tego będzie, ale na lekkie przejście liczyć nie można. Pocieszałem się tem, że ze względu na moje poselstwo, sprawa pójdzie szybko i że długo nie będę pozostawał w niepewności.

Po załatwieniu formalności wachmistrz powiatowy odszedł, a ja

pozostałem sam z moim strażnikiem. Dowiedzieć się od niego nie mogłem nic, prócz tego, że wachmistrz powiatowy uważa moje aresztowanie za nieporozumienie, które się powinno rychło wyjaśnić.

Tymczasem stróż szkolny przyszedł, aby zapalić w piecach, ale go nie wpuściłem. Byli i ludzie z rynkieckiego na poradę, alem ich również odprawił. Przyszedł prof. Karol Rybarski, którego prosiłem o kupienie mi większej walizki oraz szynki i chleba na drogę. Uczynił to zacny człowiek z ochotą i po pewnym czasie przyniósł walizę, którą mogę słusznie uważać za kryminalną. Był też prof. Zygmunt Podgórski, który od razu zrozumiał, że po mojem aresztowaniu na skutek niemieckiej denuncyacyi, przyjdzie na niego kolej. Rozmawiałem z nimi wobecności żandarma, który wszędzie stał nademną i chodził moim śladem do przedpokoju, gdziekolwiek się obróciłem.

Było mi coraz ciężej na sercu.

Wreszcie około pół do dwunastej wyszliśmy. Dzień był mglisty, ozdziały, więc nie chciałem fiakra, bo wolałem bocznemi uliczkami, mało uczęszczanemi, przedostać się niepostrzeżenie na dworzec w Bielsku. Eskortujący wachmistrz szedł ze mną w jednym rzędzie, bez bagnetu na karabinie, a ja dźwigałem walizkę wytłoczoną bielizną. Doszliśmy niepostrzeżenie do stacyi i weszliśmy z boku, gdzie żołnierz pilnujący odrazu dał przejście żandarmowi.

Było ze 20 minut do odjazdu pociągu, a my już siedzieliśmy w wagonie. Ludzie się schodzili, nie zwracając uwagi na nas. Nagle w przepełnionym wagonie zjawiła się nauczycielka p. Marya Surowiecka, aby się ze mną pożegnać. Zdumiałem się nad jej odwagą i obrotnością, bo dworzec strzeżony przez wojsko, a bez legitymacyi przystąpić do niego nie można. Jak waleczna niewiasta pokonała te przeszkody? Ponieważ tymczasem ogarniał mnie coraz większy pessymizm i

coraz bardziej czepiała się mojej głowy myśl, że jadę po śmierć, byłem tak rozczulony życzliwością panny Lubowieckiej, żem ją pocałował w rękę, za co ona się rozpłakała i odeszła.

W Dziedzicach poszliśmy do restauracyi, która była przepełniona i tam stwierdziliśmy, że mamy czekać aż do siódmej wieczorem. Co innego robić nad picie piwa?

Tymczasem mój żandarm spostrzegł się, że zapomniał w mieszkaniu mojem swój pakiecik, gdzie były moje listy i manuskrypty, jako corpora delicti. Pobiegliśmy więc – bo nie wolno mu rozłączać się ze mną – na żandarmeryę w Dziedzicach, aby telefonować do żandarmeryi w Białej; niech poszukają i najbliższym pociągiem dowiozą.

Około czwartej przyjechał żandarm, ale przywiózł tylko dwa puste zeszyty, twierdząc, że żadnego innego pakietu u mnie nie było. Zdrętwiałem. Domyśliłem się, że zacni moi przyjaciele w obawie, czy tam nie ma czego kompromitującego, sprzątnęli pakiet. Na co się nieszczęśliwcy narażają! Mój wachmistrz zaś stracił panowanie nad sobą ze strachu.

Wszedł oberleutnant poseł Matakiewicz, który do Dziedzic przyprowadził jeńców rosyjskich i powitał się ze mną, ale się nie przysiadł. Musiał jednak zauważyć, że jestem zanadto związany z żandarmem, bo wychodząc już nawet nie popatrzył w moją stronę. Wkrótce też przyszedł komisarz starostwa Kulczkowski, mój znajomy z Brzeżan i przysiadł się do nas, a ja, jakby nigdy nic przedstawiłem mu mojego żandarma. Rozmawialiśmy żywo i swobodnie. Kiedy jednak zapytałem mojego strażnika, czy nie potrzebuje wyjść, bo mu pokażę drogę do pissoir, i kiedyśmy wyszli razem, p. Kulczkowski ogromnie natarczywie przypatrywał mi się, potem zwietrzywszy zapewne coś niewłaściwego, odszedł z przezorności, pożegnawszy się z nami.

~~Nareszcie oczekiwany pociąg nadszedł. Żandarm porozumia~~

Zaczęli napływać podróżni, między nimi lekko ranni żołnierze. Wszedł na kulach jednoroczny prof. Reiss ze Złoczowa, odwożony do szpitala. Biedaczysko odmroził obie nogi. Dano mu krzesło na kółkach, aby go oddać do wagonu. Poczciwiec udawał, że nic sobie

nie robi z kalectwa.

Nareszcie zajechał oczekiwany pociąg. Żandarm porozumiał się z oficerem, komenderującym na dworcu i szybko umieścił mnie w wagonie. Ścisk był okropny, język panował polsko-czesko-słowacki. Przeważały kobiety, które jechały odwiedzić rannych mężów do Ołomuńca, Mährisch Schönberg itd. Jedna ładna robotnica (z Łupkowa) zapewniała, że tak dobrego męża, jak jej kaleka, nie ma na świecie - jakaś ładna Słowaczka opowiadała, że jej mąż i dwaj bracia zabici, przyczem uśmiechała się, wywołując wrażenie głupowatości.

Podróż wojennym pociągiem trwała ~~cztery~~ trzy godziny z okładem. Stanęliśmy w Morawskiej Ostrawie, a raczej w Przywozie o pół do jedenastej. Na dworcu nie ma fiakrów, więc muszę dźwigać zbyt ciężką walizkę. Okazało się, że ani ja ani żandarm nie znamy Ostrawy i nie wiemy, gdzie to jest ta szkoła handlowa, gdzie się mieści sąd garnizonowy. Przechodnie mało nas oświecają, ale idziemy. Nareszcie jedzie jakiś fiakier i wsiadamy do niego w nadziei, że nas zawiezie prosto do celu. Tymczasem on również nie znał miasta. Zajeździliśmy przed różne instytucye wojskowe, zasięgając języka, krążyliśmy między tymi samymi domami i szukali. Szukałem po nocy mojego kryminału.

Nareszcie dostaliśmy się w okolicę, gdzie ~~je~~ są sądy i więzienia wojenne. Dzwonimy do jednej bramy, okno parterowe otwiera się i jakiś gruby pan w negliżu pyta po polsku: co to jest? Żandarm wyjaśnia, że odwozi areszanta do sądu wojskowego. „No to do więzienia z nim. Więzienie wojskowe znajduje się w aresztach sądu powiatowego." Żandarm tłumaczy, że ten areszant to jest poseł i że należy się spodziewać, iż sąd pozwoli mu zamieszkać prywatnie aż do wyjaśnienia sprawy, więc może nie wypada oddawać go do kryminału między zbrodniarzy. „Ależ po nocy sąd nie urzęduje - do więzienia z nim, a jutro się rzecz wyjaśni."

Fiakier wiedział, gdzie są areszty sądu powiatowego, więc wkrótce byliśmy u celu. Dzwonimy. Wychodzi żyd landszturmista i też z tajemniczemi minami, pykając i kładąc palec na ustach, powiada szeptem, że nie wolno robić hałasu, bo pan cugsfirer śpi. Biedny pospolitak nie wiedział co z nami zrobić i musiał uledz natarczywości żandarma. Poszedł ze strachem obudzić pana cugsfirera.

Za chwilę zszedł po schodach młody, niewielki, poważny plutonowy i oświadczył, że w nocy nie przyjmuje się więźniów. Dopiero kiedy żandarm zagroził, że mnie z powrotem odwiezie do Białej, zgodził się na wpuszczenie nas.

Z takimi trudami dobijałem się zaszczytu wpuszczenia mnie do kryminału.

Więzienie polowe ~~znajdu~~ mieści się w skrzydle świeżo zbudowanem aresztów cywilnych sądu powiatowego. Komenda Korpusu, uchodząc z Krakowa, który miał być oblegany, umieściła się w Morawskiej Ostrawie dopiero niedawno. Dobudowane skrzydło więzienia jeszcze nie było ukończone, gdym się tam dostał. Nie zdążono jeszcze ułożyć posadzki w całym korytarzu na parterze, schody nie były dokładnie oporęczowane, a z murów dopiero co wewnątrz tynkowanych, ściekała wilgoć.

Jako starożytny reumatyk jestem na wilgoć niezmiernie czuły. Gdy wejdę do nieznanego domu, który nie stoi przynajmniej dwa lata, zaraz ucisk w czaszce uwiadamia mnie, że to świeżyzna. Dostawszy się w te mury, doznałem od razu ucisku w całem ciele i nabyłem ~~pewn~~ przeświadczenia, że z tego budynku nie wyjdę o własnej sile.

Cugsfirer załatwił szybko formalności z żandarmem, który w lot się oddalił, kontent, że nikt nie zauważył braku „corpora delicti" czyli liców. Wtedy żołnierz zabrał się do mnie. Przeszukał walizkę dokładnie i kazał ją zamknąć, zostawiając mi kluczyk. Potem zrobił dokładną rewizję moich kieszeni i zabrał mi wszystko. Portfel, zegarek, notes, scyzoryk, ołówek, każdy przedmiot, który może być licem sądowym, może służyć do porozumiewania się z światem, albo do usiłowania samobójczego zamachu, został mi odebrany,

wpisany w książkę, a na pieniądze, których było 494 Kor 12 h dostałem pokwitowanie. Tylko chustkę do nosa mi zostawiono.

Po ukończeniu tego obnażenia plutonowy poprowadził mnie oświetlonym korytarzem nieco w głąb, otworzył celę №. 40 i rozkazawszy wejść, zatrzasnął za mną rygle.

Byłem w więzieniu.

Pierwsze dni.

Celka ma 3 m. 40 długości, a 2 m 80 szerokości, jest bardzo wysoka i sufitową lampką ~~ja~~ elektryczną jasno oświetlona. W więzieniu pali się światło przez całą noc. Okienko naprzeciw drzwi kwadratowe tak wysoko, że trzeba na podstawionym stole stawać, aby do niego dostać. Szyby wewnętrzne są z nieprzejrzystego szkła.

W celi leżą pod ścianą dwa grubo wypchane słomą sienniki jeden na drugim i złożona „deka". Obok tego jest niewielki stół, przy nim niski stołek z niewielką blaszaną miednicą i blaszanym dzbankiem. Zresztą żadnych innych mebli.

Drzwi jeszcze niepomalowane z świeżego drewna muszą być mocno z zewnątrz kute, bo ~~w~~ od środka mnóstwo widać główek od gwoździ, wielkości korony. W wysokości oka jest w środku drzwiczek otwór okrągły, stożkowato rozszerzający się ku wnętrzu, aby z korytarza można każdej chwili zobaczyć, co więzień robi. Drzwi osadzone w żelaznych odrzwiach. A ponieważ przez matową szybę okna widać mocną kratę żelazną, więc rzeczywiście odebranie wolności jest przeprowadzone z całą siłą.

Przy drzwiach w jednym kącie piecyk żelazny blaszanym pancerzem szczelnie niedostępny, z drugiej klozet z wodnem urządzeniem. W piecu pali się z korytarza. Klozet zamiast łańcuszka ma ~~*~~ guzik, z równo z powierzchnią ściany umieszczony w ścianie; gdy się go pociśnie woda ze zbiorniczka, umieszczonego na korytarzu, przepływa przez muszlę.

Nie ma więc nic wystającego, o co mógłby samobójca

zahaczyć, gdyby się chciał powiesić, a że mu zabrano wszystkie ostre narzędzia, więc już nie rozporządza swojem życiem, bo ono należy do sądu lub ewentualnie do kata.

Czwartą nic a nic więcej.

Cela musiała jeszcze nie być używaną, bo podłoga nie miała ani śladu stóp ludzkich, ani nie wykazywała śladu zmywania, a świeciła białością heblowania, jak gdyby przed chwilą dokonanego. I gwoździe w nią wbite nie miały jeszcze czasu zardzewić swoich główek – w przeciwieństwie do gwoździ we drzwiach, które zczerwieniały się rdzą i wilgocią, ściekającą czerwonemi długiemi strugami po bejcowanem drewnie. Żelazne obicie wziernika (otworu do zaglądania z korytarza) było już rdzą przeżarte.

Na wysokości pasa czerwieniła się we drzwiach rdzawa blacha, w której odkryłem urządzenie do otwierania, celem podania jadła przez zamknięte drzwi. Ze ścian świeżo otynkowanych świeciła wilgoć. Budynek był tak niedawno dokończony, że jeszcze pleśń nie miała czasu się przyjąć.

Szybko skończyłem przegląd mego apartamentu, a że było zimno i wilgotno, zacząłem chodzić w futrze i w czapce na głowie. Okazało się, że od okna do drzwi, gdy drobię kroki, wymierzę ich siedem, inaczej tylko sześć, licząc w to i wgłębienie na drzwi.

A więc jestem uwięziony. Zupełnie tak, jak się w tylu książkach czytało. Więc choćbym płakał i prosił, nie przestąpię tych drzwi zaryglowanych, nie mogę wyjść, muszę na tych kilku metrach przestrzeni pędzić życie.

Jakoś trudno się było z tą rzeczywistością oswoić. Czasami myślałem sobie, że to przecież niemożliwe. Toż to ludzie tacy sami jak ja osadzili mnie za kratą niby afrykańskie zwierzę, a sami chodzą wolno. To znowu, przypominawszy lekturę o więźniach politycznych, przed którymi miałem zawsze cześć czołobitną, mówiłem sobie, że taka sprawa jest za poważna, za wielka dla mnie. „Nie udawaj" powtarzałem sobie – ale drzwi były naprawdę

twardo zamknięte.

Było już daleko po północy, gdy zmęczony położyłem się spać. Na gołym sienniku, pod „deką” i mojem futrem, w baraniej czapce na głowie, aby się uchronić przed przenikającym wpływem wilgoci, ułożyłem się. Pierwsza noc w więzieniu!

Wszelako zmęczenie i wilgotne zimno nie pozwoliły mi wczuwać się w położenie, bo kładąc się, myślałem, że się jutro nie podniosę z powodu reumatycznego napuchnięcia stawów.

Usnąłem prędko, twardo, bez marzeń.

Lampa elektryczna paliła się, w oknie było czarno, kiedym się obudził z nabrzmiałemi powiekami i dziwną niemocą w kościach. Umyłem się, ubrałem, naciągnąłem futro i czapkę i zacząłem chodzić. Z okna płynęła woda, strugi z gwoździ na drzwiach połyskiwały czerwono i srebrzysto.

Nie! To nie może być. Ja nie mogę być aresztowanym. To jakaś omyłka.

A jeżeli moi przeciwnicy polityczni nakłamali na mnie! Bez przyczyny przecież nie aresztowano mnie. A gdy oni nakłamali, to mogę być zasądzony na więzienie, albo na śmierć. Tu nie ma żartów.

Kto i co mógł na mnie donieść? Najprawdopodobniej Niemcy z Bielska, zwłaszcza ten solicytator wszechniemiecki. A to są luteranie, którzy łatwo krzywo przysięgają.

Dobrze! Cóż mi mogą zarzucić? Czynu żadnego, bo świadków znajdę, że od wybuchu wojny nie robiłem absolutnie nic – ile ani dobrze. Tak, ale mogą mi zarzucić, żem coś powiedział na cesarza, na państwo, na wojsko, a za to u nas takie czeka stryczek lub kulka w łeb. To niepodobne do prawdy. Z Niemcami nie rozmawiałem nigdy, a na podsłuchane moje rozmowy z Polakami nie mogą się powołać, bo Polacy muszą zaprzeczyć, skoro żaden nic podobnego odemnie nie słyszał.

Jestem posłem, to mnie pewnie zaraz powołają do sędziego

śledczego i dowiem się – przecież mnie gnoić w lochu nie będą bez przyśpieszonego badania.

Wkrótce dało się słyszeć chodzenie po korytarzu, potem ktoś biegł od celi do celi i bijąc żelazem w drzwi wołał: „Auf!" Aha! To odbywa się budzenie. Później dowiedziałem się, że to jest szósta godzina rano.

Odtąd bieganie po korytarzu stało się coraz częściejsze. Wreszcie zazgrzytał zamek u mnie, otwarły się drzwi i pokazał mi się cugsfirer, ale inny, klucznik z parteru. Za nim wszedł żołnierz, zabrał pełną miednicę i próżny dzbanek, a przyniósł odwrotnie i znowu drzwi się zatrzasnęły. Znowu robiłem swoje kroczki tam i napowrót.

W jakąś godzinę później otworzyły się drzwi i żołnierz przyniósł pół bochenka chleba oraz blaszane naczynie z czarnym płynem. Była to „wojenska" czarna kawa. Naczynie z cienkiej, pordzewiałej, pogiętej blachy, z uszkiem wystającem nad obwód, cuchnęło niby drzewem, a niby gnijącymi badylami. Wszelako, gdy się nie oddychało podczas picia, ta czarna lurka ogrzewała nieco żołądek i umysłowi, prawie opuchłemu, dodawała rażności.

Z chlebem było gorzej. Jak z połówki komiśniaka uszczknąć kawałek na śniadanie, skoro niema noża? Kąsać w bochenek nie idzie, zwłaszcza przy spróchniałych zębach. Po namyśle wreszcie oparłem chleb środkiem o krawędź stołu i przełamałem na dwie połówki, z których dało się już palcami odszczypywać kawałki.

Chleb był czysto jęczmienny, więc goryczka zostawała w ustach. Po niejakim czasie zabrano „szalkę" i znowu zaryglowana cisza. Już też i okno zaczęło nabierać ciemno granatowej barwy, a ja ciągle chodziłem, bo mokre zimno szczypało w kolana i w nos. Jakże to długo trwało, nim nareszcie ~~rozświtał~~ zaświecił ~~naprawdę~~ późny, mroźny, zimowy dzień. Pierwszy dzień więzienia.

Światło na suficie zgaszono, a mokre ściany odsłoniły się

w całej brzydocie ociekającej świeżyzny.

~~Zacząłem~~ Myślałem o swoim losie i czekałem, kiedy mnie zawołają przed sędziego. Byłem pewny, że z postem będą przecież robić ceremonie i spiesznie badać jego zbrodnię czy niewinność, ażeby w danym wypadku niewinnego w lochu nie trzymać. ~~Ale~~ Gdy dzień nachylał się ku południu, a o mnie nikt się nie zapytał, zacząłem myśleć inaczej, coraz pesymistyczniej.

Nagle rozległa się niedaleko mego okna trzaskająca salwa karabinowa. Kogoś rozstrzelano w dziedzińcu więziennym. Zatrząsłem się cały.

Nie! Tu nie można łudzić się nadziejami, spodziewać się względów. Tu się robi krótki proces. Nie wiem, kto zginął i za co, ale czułem się jego bratem, jego najbliższym i nie wiedząc co zrobić, ukląkłem, aby się za niego pomodlić.

Cała obrzydliwość ludzkich urzędzeń, gdzie jedni przywłaszczają sobie moc odbierania życia drugim, stanęła mi jasno przed oczyma w całej swojej ohydzie. To okropność, to zbrodnia przeciw naturze i przeciw ludzkości. Przypomniałem sobie wszystkie zbrodnie i wykroczenia, na które w rozporządzeniach wojennych wyznaczono karę śmierci, ale gdy o nich myślał, to może opowiem, gdy nastaną rządy konstytucyjne.

A więc w pierwszy dzień mego uwięzienia, mam na powitanie egzekucję doraźną.

Po co mam się łudzić? I mnie czeka to samo. Toż zapewne uwięzienie posła nie odbyło się bez porozumienia się z rządem. Widocznie doniesiono na mnie coś strasznego i ten zarzut przy powierzchownem zbadaniu okazał się uzasadnionym, a ~~za~~ potem przystąpiono do aresztowania. Jestem zatem w opinii sądu i rządu już na śmierć skazany, a to co się robi, to są tylko potrzebne formalności.

A więc mam się gotować na śmierć.

Szkoda łudzić się, trzeba zajrzeć rzeczywistości w oczy.

opuszczenie na poprzedniej stronie uzupełniam:

Po ósmej godzinie zostałem ponownie wezwany do Kancelaryi, w której mnie nocą przyjęto. Przy wielkim stole siedziało kilku żołnierzy, szeregowych i szarży, zajętych pisaniem, wszyscy z odkrytemi głowami. Między nimi siedział starszy pan w oficerskiej czarnej czapce na głowie, w mundurze o odznakach wachmistrza, pan oryginalny, osobliwy. Nie wiedziałem co jest tą wyróżniającą cechą. Wąs duży, obfity, węgierską pomadą zlepiony w długie prosto sterczące końce, ostatecznie spotyka się u podoficerów nieraz. Twarz raczej kształtna i ładna, choć starsza i przekrwionemi żyłkami stwierdzająca zamiłowanie do alkoholu, nie jest także osobliwością. Wyraz cały i zachowanie się, wskazujące na to, że on się tu czuje przełożonym i władcą, także się widziało.

Co jest u tego jegomości tak uderzającego? Złym nie wydaje się być, dobrym osobliwie też nie – raczej sympatyczny i pociągający niż odpychający. Coś niecoś dorobkiewiczostwa w tej pańskiej, władczej minie, dla której zaznaczenia on sam jeden urzęduje w czapce, jest u niego – ale nie to jest rys jego właściwy, uderzający.

Przypomniał mi opowiadania Łozińskiego z przedkonstytucyjnych dziejów Galicyi. Tytuł „Actuarius", a choćby „Mandatarius", „Archivarius" przylegałby do niego, jak rękawiczka do dłoni.

Mam cię stara Austryo metternichowska, to żywy zabytek przeszłości, to nasz galicyjski niegdyś okaz. To nie jest człowiek lecz paragraf. Poza służbą poczciwy piwosz; w służbie jednak na zimno, ze spokojem sumienia, z niecierpliwością do szklanki kat lub dobrodziej wedle rozkazu z cyrkułu, wykonawca zarządzeń z góry, których rozumieć nie chce.

Byłbym go uściskał dlatego, że był takiem wcieleniem

historyi. Nie umiem oddać tego rozrzewnienia, jakiegom doznał, jakobym obaczył podoficera, który trzciną okładał mego dziadka jako rekruta. A że wówczas trzcina była przyborem naukowym, nie tyle gniewałem się za nieszanowanie dziadka, ile byłbym chciał o owych czasach i o moim przodku pogawędzić. W lochach więzienia zachował się niezmodernizowany okaz dawnego systemu: ten człowiek, to illustracya przeszłości, dziejów Galicyjskich. On nie ma narodowości, bo jest biurokratą austryackim. Gdyby w myśl teologii Stojałowskiego był na niebie święty Biurokratius, takby mógł tylko wyglądać. Rozstać się nie mogę z tym człowiekiem, takie na mnie zrobił wrażenie: Łozińskiego opowieści zobaczyłem w życiu.

Ściągnięto ze mnie rodowód, przedłożono mi spis zabranych rzeczy do podpisania i odprawiono mnie już jako więźnia formalnego, skatalogowanego, zarejestrowanego, prawdziwego.

Wracając pod nadzorem mego klucznika plutonowego, zapytałem, co to za pan: „Sztabsprofos." Jezus! To taki tytuł oznaczały, taka godność policyjno-myszkowata jeszcze istnieje!? Dalibóg nie wiedziałem. Ale ten pan jest jej najlepszym wyobrażeniem, symbolem, ucieleśnieniem – to nie jest jeden z profosów: to jest sztabsprofos „an und für sich", to typ, rodzaj, całość.

Znacznie później dowiedziałem się, że to Polak, który już był przeszedł na emeryturę, ale z wybuchem wojny został na nowo powołany do służby, ażeby młodsze siły posłały na front.

F

A więc będę rozstrzelany. Nie widziałem urządzenia na egzekucyę, ale z opowiadań wiedziałem, że jest tam wbity w ziemię słupek, za nim worki z piaskiem dla chwytania wystrzelonych kul i że do tego słupka przywiązuje się skazańca, do którego żołnierze strzelają. Dobrze! Trzeba się wmyślić w położenie i tak przygotować, żeby nie okazać słabości. Wszak to głupstwo. Jutro łapie mnie cholera, tyfus, niestrawność, wada serca i w mękach będę umierał — to lepiej umrzeć krótko od razu. A ponieważ nikt mi nie zaręczył, że bez gwałtownego skrócenia życie moje ma jeszcze trwać lat 20, 30, 40 — tylko w naturalny sposób może się urwać jutro lub pojutrze, toż to drobiazg, że człowieka rozstrzelają.

Czego mam żałować? Ciągle mi się zdaje, że jestem powołany do dokazania czegoś wielkiego, przełomowego, pożytecznego. Więc mi żal, że mi tę możność odbiorą przez skrócenie życia. Otóż to nieprawda. Każdy wielki człowiek dokonywał dzieła nieśmiertelnego przed dojściem do 41. roku życia. Słowacki miał czas unieśmiertelnić się i umrzeć w takim wieku — Mickiewicz, Krasiński zamknęli swoją działalność; Rafael znacznie młodziej umarł; Napoleon w tym wieku rozważał swoją skończoną przeszłość. Czegóż ja mogę się spodziewać jeszcze? W ciele, na pół zbutwiałem, nie ożyje młodość, ani mózgu nie nawiedzi jakiś nieodkryty geniusz — co miałem najlepszego do zrobienia, zrobiłem. Że tego mało, nie moja wina, lecz mego ustroju, który się na więcej nie zdołał zdobyć.

A więc muszę sobie wybić z głowy, jakoby mnie czekała jeszcze jakaś wielka, nieśmiertelna służba narodowa. Muszę się pasować z tą drugą naturą, boby mi wstyd było pokazać po sobie żal.

Długo trwała ta walka z samym sobą. Była u mnie trudna dla tego, że skrzywiłem był swoje życie od dziecka, aby się przygotować do pracy na nieśmiertelność i że to podłoże psychiczne,

które mi kazało wierzyć, iż dokonam czegoś nadzwyczajnego, że oddam narodowi niebywałą, przełomową usługę, stało się moją drugą naturą. Tymczasem, gdy nadzwyczajność nie przychodziła, starałem się być użytecznym na każdem polu, na jakiem mnie przypadek postawił. Pozatem, roztargniony setkami zajęć, nie miałem był czasu zastanowić się, czy ta wiara w jakieś wyższe moje przeznaczenie ma podstawy czy nie.

W więzieniu ten czas się znalazł. Chodziłem po celi jak automat i rozbierałem życie z kwiatów, by się dostać do nagiej łodygi. Gdy mnie ból żałoby życia docisnął, siadałem na siennikach, aby za chwilę powstać i znów robić swoje sześć kroków tam i z powrotem.

Nie wystarczyło powiedzieć sobie, że mnie żadne nadzwyczajne posłannictwo nie czeka – trzeba było sobie to wtłoczyć w uczucie, w mózg, w charakter niejako – trzeba się było łamać z własną naturą, która od dzieciństwa była wykrzywiona w innym kierunku i zakrzepła w tem wykrzywieniu. Czasami brakło mi sił i oddechu, tak ciężka była ta robota nad sobą.

Godziny wlokły się niemiłosiernie długo. Wreszcie drzwi się ze zgrzytem otwarły i żołnierz postawił mi na stole tę samą, niepokaźną szalkę co rano, a w niej sterczał trzonek metalowej łyżki. A więc obiad. Musi być godzina 12, bo wojsko później nie daje obiadu, raczej wcześniej.

W szalce był rosół, w nim pocięte dość drobno kawałki mięsa wołowego i nieco makaronu. Mięso daje się siekane w kawałki, aby nie było potrzeba noża, bo ~~[illegible]~~ narzędzie jest surowo zabronione więźniom. Mogliby się targnąć na życie, które należy do państwa i do kata, a nie jest już własnością kryminalisty.

Muszę przyznać, że rosół wojskowy był znakomity. W żadnej pierwszorzędnej restauracyi nie jadłem tak doskonałego. Mięso również było dobre, a gdy się do niego dojadło znowu

nieco odszczypanego chleba, obiad był wystarczający i smaczny - z wyjątkiem naczynia.

Czerwonawy blask słonecznego nieba odbił się przez matowe szkiełko, zwrócone do północy i zaprawił celę troszką światła i życia zimowego. Zacząłem oglądać ściany i podłogę. To więzienie nie ma nawet przeszłości - w tej celi nie siedział nikt przede mną. Wreszcie obaczyłem jakieś rysy na drzwiach brudnych od wilgoci i impregnowania, oraz nad nieużywanym dotąd piecem na ścianie. „Przebóg! ja tu nie pierwszy!" To kaligrafowany podpis po rusku i po polsku, powtarzany europejską i żydowską modą od prawej ku lewej i odwrotnie: „Tymko Łewuk." Jakiś żołnierz tu siedział i to ze wschodniej Galicji. Z nieznany kraju przychodzisz mnie tu jeszcze żegnać swoją cyrylką i łatynką, abym cię uniósł w duszy tam pod słupek, gdzie się na piasku mój mózg rozpryśnie i krew rozleje.

Trudziłem sobie głowę, aby odgadnąć dzieje i przewinę tego chłopa ruskiego, który mnie tutaj poprzedził. Byłbym chętnie zawarł z nim znajomość, tak mi ten nieznany Rusin wygłębił się w serce. Czy został rozstrzelany; czy siedzi w więzieniu za wyrokiem; czy uniewinniony stoi na froncie? Zdawał mi się krewnym i bratem i rozrzewnienie jakieś wiązało mnie z temi literami, za któremi krył się człowiek: człowiek tak biedny jak ja.

Z twardej walki z sobą przeszedłem w rozczulenie. Zmiękłem na nic jak wosk nad świecą. Oto takie samo czerwone światło zimowe zaglądało przez zapłakane okna do naszej chaty, gdzie matka przędła, a ojciec wychodził na młockę do stodoły. Widzę ich tak, że wyrzeźbić i wymalować ich mógłbym, gdybym umiał.

I wichura żalu porwała moją całą duszę, jak się gąbkę ściska w dłoni i zakręciła nią jak trąba powietrzna, a rozpacz beznadziejna, bezbrzeżna, niewysłowiona a jasnowidząca zatargała mną tak, że chciałbym stopić się w sobie jak jedna kałuża łez.

Więc zrywam się biegać, aby zmęczeniem fizycznem przytępić ból-

ale niemniej kajam się przed nieboszczykiem ojcem. Nie na to z takim trudem posyłał mnie do szkoły, abym skończył jak zbrodniarz. To prawie szczęście, że nie żyje już dziesiąty rok, bo wiadomość o mojem aresztowaniu niechybnie by go zabiła. A matka? Żyje tam wyschłe jak szczypka chucherko pod władzą moskiewską w Głogowcu, ale już ja jej nigdy więcej nie zobaczę.

Trzeba znajdować się u stóp szubienicy, a mieć równocześnie czas na spokojne wmyślenie się, uzmysłowienie sobie, aby zrozumieć, ile piekła mieści w sobie słowo: „nigdy." Chce się wyć, palce gryźć, głowę o mur rozbić, byleby to „nigdy" odwrócić.

I znowu za szczęście muszę uważać, że matka i siostra od miesiąca znajdują się pod inwazyą rosyjską, bo się nie dowiedzą o mym losie. Byłem przedmiotem ich dumy. Im bardziej pyszniły się mną, tem okropniejszego doznałyby wstydu. Czy sędziwa matka przeżyłaby ten cios? Wątpię – a w takim razie zostałbym mimowolnym matkobójcą. Ratujcie wszystkie moce, bo wśród tych rozmyślań trudno wytrzymać.

Aby odpędzić od siebie te przebolesne roztkliwienia, biegam po celi i mówię sobie: Do trzech dni będę rozstrzelany. Co robić, aby te ostatnie godziny przeżyć godnie i królewskiego płaszcza myśli polskiej nie zaplamić.

Ale daremnie nakręcam zegar duszy na twardą godzinę wyroku – ciężarki opadają i znowu przed oczyma snują się obrazy, wspomnienia i rozpacz targa mną niebywała. Gdy się przed rozpaczą opędzić nie mogłem, postanowiłem poddać się jej i wyczerpać ją aż do dna.

I jakbym zbiór kolorowych illustracyi przerzucał, stawiały mi się przed oczy obrazy z przeszłości takie żywe, barwne i prawdziwe, jakgdyby to nie wyobraźnia przypominała, lecz jakoby się to teraz działo.

Jestem więc „Jasiem", studentem. Wychodzę z chaty na murawę,

a słońce wschodnie prześwieca przez białe opary, przedziera się przez ~~gł~~ gęstwę liści osik i topoli przy naszej zagrodzie, brylantuje każdą kropelkę rosy i daje przenajśliczniejszy koloryt kochanym kątom rodzinnym. A ja z Mickiewiczem pod pachą idę sobie drogą ku słońcu, ku Sanowi, ku Sieniawie, która jak prześroczne zjawisko przeziera przez mgły ranne, białe popod baldachimem blasku, cały zarys niby z kryształu. Patrzę na to i zachwycam się, uczę się Mickiewicza na pamięć i dobrze mi na świecie, niewypowiedzianie dobrze. W domu rodzice kochający, wokoło najpiękniejsza, bo rodzinna wieś, największy wieszcz na wzbogacenie serca i cała tajemnicza, ale wielka przyszłość przede mną.

Tak się wżyłem, tak żywo przypominałem wszystko, że raz jeszcze byłem tem kilkunastoletniem chłopięciem i odświeżyłem te wielkie marzenia o przyszłości nadzwyczajnej, promiennej...

Oto przyszłość: zgniły loch za kratą i za kilka dni kulka w łeb, a mózg rozpryśnie się po błocie jak garść błota, rzucona o ścianę. Po com ja tego Mickiewicza niegdyś tak ukochał, żem się prawie wszystkich jego dzieł wyuczył na pamięć? On mnie zbakierował, on uwodziciel.

Cicho! nie bluźnij! On także siedział w kozie i swojej ziemi rodzinnej odtąd nie zobaczył.

A więc po odbyciu porannej włóczęgi z uczeniem się na pamięć poezyi Mickiewicza, wracam do domu na śniadanie. Przez zatyłek chałupy dobywa się biały dym i lśni w słońcu jak obłok, na którym anieli Matkę Boską wzięli do nieba, a czarny dach chaty, okryty mchami pławi się w blaskach radośnie. W domu czeka mnie garnuszek grzanego mleka i „jajśnica” z dwu jaj w żeleźniaczku i chlebuś pszenny, co go matka na „kielnę” upiekła. To dostanę pod przydachem, na mojej „stolicy,” bo do izby w lecie nie chodzę. Matka wyszła na próg i woła mnie do śniadania:

„Jasiu!” Słyszę jej głos i odwracam głowę ze wzdrygnieniem.

To nie dom rodzinny, to więzienie, a stąd wyjście tylko na śmierć.
I widzę matkę, nie tę dzisiejszą staruszeczkę, lecz żwawą, ładną kobietę sprzed trzydziestu prawie lat i znowu płacz mnie zalewa, że już jej nigdy nie zobaczę. Na kolana bym padł, zabłocone jej stopy całowałbym, pod jej nogi jak chodnik bym się rozpostarł, byleby ją raz jeszcze zobaczyć.

„Nigdy" mówi rzeczywistość, więc znowu chodzę dokoła szybko, aby się zagłuszyć.

Ale już nie panuję nad myślami i widzeniami. Z nieznanych mi skrytek wysuwają się obrazy same, o których nie wiedziałem, że zostały w archiwum pamięci, a takie żywe i przepiękne, że serce aż skomli, iż to dla mnie stracone na wieki. Więc idę u nas w Głogowcu nad Wisłokiem, pomarańczowe słońce świeci na wodę i kładzie cienie drzew nadrzecznych na ściernie i role, które przy zachodniem słońcu mają tyle zdrowej wyrazistości i uroku. Prawie każdy zakątek wsi rodzinnej widziałem osobno w słonecznem oświetleniu i w stroju zbóż kwitnących i w ukajającem jesiennem ogołoceniu.

Przepadło. Już tego więcej w życiu nie obaczę.

Ale to głupstwo. Wszak choćbym był wolny, nie ujrzę ojca, bo umarł przed niespełna dziesięciu laty, nie ujrzę tych starców osiwiałych, na których dzieckiem patrzyłem z szacunkiem, trwogą i miłością, bo ich już dawno kryje mogiła. I znowu snują mi się postaci widziane w dzieciństwie i pogrzebane już dawno bardzo dawno. Tu niewielki, powolny Antoni Ogryzek, wobec którego mój ojciec nawet czuł się zawsze niedojrzałem dzieckiem, w posępny dzień jesienny przynosi nam kubek miodu praśnego „na Gody," „zadzielając" sąsiadów jako pasiecznik, bo tak każe starożytny obyczaj. Tam świątobliwy Łeja stoi wśród żniwnej pożogi, patrząc na świergocące w „jabrzędzie" ptaszęta i mruczy sobie, że to ptactwo, chwalące nieustannie Boga śpiewaniem, powinno być wzorem i nauką dla ludzi.
To znowu sam jako mały gimnazyasta, ubrany po chłopsku, stoję wśród jakiegoś słonka na polu, gdzie białemu jak

śnieg Stańkowi przyniosłem wody w konewce, a staruszek dowiedziawszy się „czyj jestem chłopak", przeprasza, że śmiał mnie prosić o wodę, bo mnie nie poznał, inaczej nie byłby nigdy odważył się trudzić „studenta". I zdjął kapelusz z mlecznej głowy i ręce wzniósł do góry i błogosławił mi ze łzami. O tak! błogosławili mnie starcy, wychwalali, przepowiadali rodzicom niezwykłą przyszłość dla mnie. Tak! czeka mnie rzeczywiście przyszłość niezwyczajna: kulka w łeb.

Inny obraz: W naszej chałupie zeszli się Ojcowi „kamraci" i ćmią fajki, aż ścian nie widać. Opowiadają o „ditaliji", "Tryjest, Werona, Piaczenca, Piskiera, Fersedyk, Trewizo, Mantua i Widzień z ust im nie schodzą. Długie marsze w spiekocie po białych, kamienistych drogach, głód wojenny i odpieczone ciężkimi rzemieniami ciało, oto ich wspomnienia. Przerażają dziecko, ale go nie nęcą. Lato, gdy Stach Bechta, niewielki, dowcipny i zwinny zacznie opowiadać o przygodach flisackich na Sanie i na Wiśle, o Sandomierzu, Puławach, Warszawie, Toruniu i Gdańsku, mało dusza ze mnie nie wyskoczy, ale pytać się nie śmiem, bo dzieciom nie wolno mieszać się do rozmowy. Walek Wlazło wtrąca jakąś anegdotę, fajki wychodzą z zębów i zdrowy mocny śmiech wstrząsa drewnianemi ścianami. A tu już Wojtyna zwany Kurczykiem, opuszcza towarzystwo, bo czas iść rybyłowić. I za chwilę ciągnie sak lub podrywkę do Wisłoka.

Nie obaczę ich więcej, nie usłyszę prostych opowieści, choćbym w kryminale nie siedział – bo pomarli dawno. A! życie! Gdybym był nie skazańcem, ale samowładnym monarchą, nie wywołam ich zpod brózd gniewczyńskiego cmentarza, nie usłyszę ich głosu, nie zapytam o ich przygody! Wszystko się kończy. Oni dawno obrócili się w proch, a teraz kolej na mnie.

To zwyczajny porządek rzeczy, ale gdy wymawiam słowo „zwyczajny", radbym wyć, tupać i zgrzytać na taki porządek, którego ostatniem słowem jest śmierć i nicość. Tylko, że to nic a nic nie pomoże.

Nowe obrazy: Kocham się w Marii Kamińskiej, chodzę do Sieniawy, aby ją ujrzeć z daleka. Trzynaście lat pisałem wiersze na jej cześć, ale nie zdobyłem się na odwagę zaznajomienia się z nią, zamienienia choćby jednego wyrazu. Gdy mi przyjaciele chcieli znajomość

ułatwić, uciekałem ze zgrozą, bom się bał przedstawić się jej niezgrabnym, nieporadnym, śmiesznym. To też naprawdę pamiętam ją tylko jako sześcioletnie dziecko o prześlicznej śniadawej twarzy z karminowemi ustami, o bujnych czarnych warkoczach i czarnej gryvce na czole. Później krążyłem dokoła niej, ale tak zdaleka, żem jej rysów nie widział. Tylko podczas wakacyi chłopskie dziecko z głębi Kościoła zapuszczało spragnione oczy pod ołtarz, gdzie ona z rodziną siedziała w książęcych ławkach, osłonionych półmrokiem. Czy wiedziała o tem uwielbieniu tyloletniem? Biedna dziewczyna. I jej życie nie usciełone różami. Jej narzeczony zastrzelił się z powodów familijnych tuż przed ślubem i nieszczęśliwa żyje teraz jego wspomnieniem w panieńskiem wdowieństwie. Bronia Łozu zdziałała, że ja który prawie wszystkie miasta galicyjskie zwiedziłem, nie byłem w życiu w Jaworowie, gdzie ona swe życie trawi w smutku.

Jak się to życie dziwnie składa. Wartoż go żałować?

A jednak żal, żal srogi, dojmujący. Można sobie sto razy powtarzać, że „czemkolwiek byłeś, najlepiej być niczem", przeciw tej nicości buntuje się dusza.

Jak to cudownie było za studenckich czasów w Sieniawie. Schodziliśmy się studenci okoliczni u Szkolnickich, przychodziły seminarzystki lwowskie i przemyskie, śpiewało się, rozmawiało, tańczyło, chodziło na spacer, łódkowało się po Sanie wśród wesela, nadziei i radości do życia. Szkolniccy oboje w grobie, ich dzieci, Kolega przezacny Stanisław i jego nadobna siostra Marya w grobie — inne dziewczęta klepią biedę, rówieśnicy rozproszeni. Jasia Kapuścińska, którą zwaliśmy księżniczką, choruje ciągle w Ustrzykach, Bronia Rysiakiewicz jest już leciwą żoną Kancelisty w Żmigrodzie, a jej siostra Miłosława o niezwykle długich czarnych rzęsach, któremi umiejętnie przysłaniała fiołkowe oczy, przed wielu laty owdowiała po mężu, który skończył w obłąkaniu. Więc choć widzę jak żywe, te młode, wonne, zachwycające twarzyczki, choć czuję zapach

wiośniany tych młodych lat i niewinnych zabaw, już ich powtórzyć raz jeszcze nie ma mocy. Może i lepiej, że nie wiem, jak wygląda teraz Mania Kamińska - niech w pamięci na wieki jak w bursztynie zostanie jej zachwycająca dziecięca postać. Tak na wieki! to jest póki kulka żołnierska nie rozsadzi mi mózgu, tego naczynia pamięci....

I znowu Jarosław, a w nim lata gimnazyalne. Nędza, głód i choroby, jakie przez tych osiem lat przechodziłem, zatarły się zupełnie w pamięci. Tylko wesołe, słoneczne i księżycowe obrazy tłoczą się do głowy. Życie, mające się za kilka dni skończyć, wybiło jak kramarz na straganie wszystkie swoje świecidła i każde z osobna w najpowabniejszy sposób przesuwa pod oczy. Więc kupą ~~szóstaków~~ szóstoklasistów siedzimy na stancyi za miastem, ochrzczonej „Wypychów" dla swojego oddalenia od rynku, a Modek Horwicki zachęca do śpiewu, ręką i piętą wybija takt i woła: „No! zlykando! zarlyknijmy." Tam huczna majówka w Kidałowicach, w Ożańsku, w Chłopicach. Ale z tych profesorów żyje już niewielu. Dyrektor May, Bobin, Głowiński, Świtalski, Wolski i ścieżka studencka, Katecheta Wojnar już dawno w grobie. A koledzy? Michał Bojarski, z którym jako Słowackim współzawodniczyłem ja, Mickiewicz II, zacny i dobry tłuścioch Adam Terlecki, późniejszy zasłużony działacz narodowy z Sokalskiego, także w grobie. Inni rozproszyli się po świecie i zapomnieli o naszej górnej i chmurnej młodości. Jednych bieda gniecie, drugich choroby.

Widzę ojca, jak przemarznięty do szpiku kości po całonocnej jeździe przywozi nam „okazyę" czyli pożywienie. Przez osiem lat co dwa tygodnie bez względu na pogodę wytrwał w tej pracy z regularnością zegarka. Ile przeniósł, ile wycierpiał! I po co? Poto, żeby z takim trudem wykształconego syna rozstrzelano jak mordercę. To już chyba lepiej, że tego nie dożył.

A gdy raz zaczepiłem o ojca, moje zdaje się najwyższe umiłowanie na świecie, to obrazki szły same jak przesuwane paciorki różańca. Piękną niedzielą czerwcową idziemy w parach przez rynek do Kościoła. Ojciec tego dnia nie przyjechał przed naszem odejściem do

szkoły na sgortę, jak to zawsze czynił. Patrzę, a pod ogrodzeniem placu św. Michała stoją sobie oboje rodzice, letnio na biało ubrani. Wybiegam z pary, witam się i wręczam piątkę, otrzymaną wczoraj za lekcję. Okazało się, że w chałupie nie było ani ziarenka, ani pyłku mąki, nic a nic, więc nie mając co przywieźć wybrali się biedacy piechotą do dzieci, aby im bodaj czystą bieliznę przywieźć, a na skrzepienie sił wzięli sobie garść starych ziemniaków, gotowanych wczoraj. Nic dziw, że moją piątkę uznali za cud boski.

Tyle przecierpieli – i po co? Ojciec już się o mojej śmierci nie dowie, a matka odgraniczona przez wojska rosyjskie z pewnością w tych dniach strat i zgonów oswaja się z myślą utracenia synów – tylko w innym trochę sposób.

Jako rzeczywisty nauczyciel przyjeżdżam z Tarnopola i chwytam ojca za rękę, aby pocałować. Ojciec wyrywa rękę i mówi: „Ja ciebie powinienem w rękę całować, bo ty nas wszystkich żywisz i odziewasz". Na złość wycałowałem mu przez przymus obie ręce, a stary rozkrochmalony burczy jeszcze coś niechętnego, ale to tylko udawanie, bo nie chce po sobie rozrzewnienia pokazać. Gdzie on? jego burczenie i jego fajka? Jeden koniec człowiekowi i dziełom rąk człowieczych...

A sam mydłowy dźwięk Tarnopol przypomniał mi jasne chwile tam przepędzone. Zaszumiał mi stepowy wicher, otwarły się nieprzejrzane, pofałdowane przestrzenie w czerwcowej urodzie pszenicy, pachnące przebujnymi kwiatami. Ten lud niezwykle dobry, to radośnie czynienie po założeniu Kasy, Kółka, czytelni – gdzie one? I defilowali przed duszą starcy, mężowie, młodzieńcy, których uważałem za osobistych przyjaciół, z którymi razem pracować tak było dobrze. Nawet niedzielne drugie śniadanie w gronie Kolegów, nawet łaźnia parowa – jako odjęte na zawsze – nurtowały rozpaczą w przypomnieniu. A moi Bernardyni zbarascy i te wszystkie zameczki wschodnie i mieściny takie osobliwe – nigdy już nigdy ich nie zobaczę.

Trułem się temi wspomnieniami, wysączałem przy każdem gorycz słowa „nigdy" aż do dna, aby się w swoim bólu przesycić i niejako po osiągnięciu przesilenia wrócić do równowagi i panowania nad myślami.

Już zapalono z korytarza lampkę sufitową, więc zapadł mrok, a ja chodziłem na zesztywniałych i zgrubiałych nogach jak mechanizm.

Wreszcie zgrzytnęły drzwi, przyniesiono czarną kawę na wieczerzę, a gdy uprzątnięto naczynie, dzień więzienny był skończony. Wilgoć przesycająca powietrze, przepoiła się zapachem mego futra i potu, oraz gnijącą wonią płótna dziwacznego w sienniku i smród stał się coraz cięższym nawet dla mnie, który świeżego powietrza w tym dniu nie zakosztowałem. Gdyby tak okno otworzyć! Nie śmiałem wspinać się do góry, ale z obejrzenia poznałem, że to daremne, bo okna są zamykane kluczem, podobnym do kolejowego. Byłem zmęczony, wyczerpany, ale czarna kawa przywróciła mi nieco jasność myśli.

Trzeba się zastanowić nad położeniem. Widzę, że będę rozstrzelany – to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Życia mi żal. Dlaczego ta pogarda życia, ta chęć jego utraty, jaką miałem przez szereg lat, opuściła mnie teraz, kiedyby się najwięcej przydała? Ale darmo sięgałem do tych rozpaczliwych wspomnień, kiedy tylko wzgląd na rodziców wytrącał mi samobójczą broń z ręki – żal za życiem rosnął, wzmagał się, czasami przemieniał się w paniczny strach przed śmiercią.

Więc trzeba na nowo rozpocząć rachunek, ażeby, jeżeli się nie da ~~myślą~~ instynktem i sercem, to przynajmniej głową być na śmierć przygotowanym.

Kogóż mam żałować? Matka zapewne skonała z przestrachu przy pierwszym strzale, jaki się ozwał przy zdobywaniu Sieniawy, więc niechybnie nie żyje. Siostra.... bałem się myśleć o tem, ale

byłem niejako pewny, że zginęła w mękach i pohańbieniu kozackiem. Powinienbym żyć dla jej dzieci, ale one bez matki nie przeżyją wojny, bo małe. Od czegóż Moskale prowadzą w swoim zdobywczym konwoju cholerę, ospę i tyfus? Jeżeli kobiety uciekły przed bitwą, która rozgrywała się na naszych polach, to mogły uciekać gdzieś w Dynowskie, Brzozowskie, a tam je zima i nędza niechybnie już zgubiły. Szkoda się łudzić, jakoby jeszcze żyły, a jeżeli żyją, to ja im nic nie pomogę.

Brat mnie nie potrzebuje, bo mając żonę i dzieci, ma własne ognisko domowe.

A zresztą w koło mnie tylko trupy. Trupem jest cała moja praca ruchliwa i skuteczna na Podolu, bo tam z pewnością Moskale wykorzenili już lub w najbliższym czasie wykorzenią wszelki ślad polszczyzny. Ośmioletnia moja praca zniknie bez śladu, bez pamiątki. Ci chłopi, którzy ze mną pracowali, albo wyginą jako żołnierze, albo zostaną wywiezieni przez Rosyan, aby kraj wyglądał jako rdzennie „ruski." Nie będzie nikogo, aby bodaj dzieciom przekazał, że chodziłem tam od chaty do chaty i budziłem do świadomości narodowej, do wspólnej pracy w kasach, kółkach, czytelniach, spółkach zarobkowych i wytwórczych. Pierwszy byłem, a pamięć o mnie zginie musi może pierwej nim w przyśpieszony sposób wyzionę ducha.

Właściwie jestem wobec tamtych ludzi zbrodniarzem. Spali cicho snem nieświadomości i było im obojętnie, kto nad nimi rządzi, Turcya, Polska czy Austrya. W tym śnie znieśliby także rosyjskie panowanie. Tymczasem ja ich obudziłem, ja wszczepiłem miłość Polski w ich serca, a przez to oni uzbroją się w oporność i bezskuteczne męczeństwa podlaskie mogą się powtórzyć na tamtej ziemi. A za krew niewinnie przelaną, za wycierpiane męki odpowiedzialnym będę ja.

Gorzkie im zaniosłem owoce – ale poczuwam się do odpo=

wiedzialności za męczeństwo Katolików.

W owym czasie Kraków przysposabiał się na wytrzymanie oblężenia, a przekonanie o niezwyciężoności Rosyi budziło wiarę, że Galicya przepadła. Otóż do rosyjskiej Galicyi nie mam poco wracać – ja umiem walczyć legalnymi środkami, a pod rosyjskiem panowaniem to niemożliwe. Mogę wyjechać do Ameryki i tam zarobkować na utrzymanie – jakie to marne. Pracować tylko po to, aby niepotrzebnie nikomu życie przedłużyć o rok i jeszcze rok. Gdy nie ma możności pracowania dla społeczeństwa, nie warto żyć. Jest to moje stałe przekonanie i instynkt od dawna, a nie dorobek więzienny.

Żal mi miejsc kochanych, których nigdy nie zobaczę. Ale gdybym był wolny i gdyby Galicya była dostępną, nie zobaczę ich także nigdy. Też wsie nad Sanem zostały wszystkie spalone, więc moja wieś rodzinna tak, jak ją znałem, należy do trupów. Drzewa wycięte, chaty spalone – gdzie jest stary Głogowiec? Na Podolu podobno nie lepiej. Gryczakowate bitwy stwierdzają, że te przestrzenie także zostały z ziemią zrównane.

Między ludźmi i rzeczami umiłowania moje są nieboszczykami. Zostałem prawie sam jeden jako zabytek swych dawnych czasów.

Czyżbym był tak stary? Nie miałem czasu zastanowić się nad tem. Wypadające włosy, psujące się zęby, nadwątlone zdrowie przypisywałem trudom, nieuważaniu na siebie i brakowi czasu na leczenie – pewny, że gdy upoluję kilka tygodni wolnych i nieco grosza, szybko podreperuję siły. W takiem odwłóczeniu z dnia na dzień przeżyłem ostatnich osiem lat.

I dopiero w więzieniu spostrzegłem, że przestałem być młodym, ba że właściwie jestem starym, znacznie starszym niż moja metryka wskazuje.

A więc nie powinienem życia żałować.

Z takiemi myślami położyłem się znowu, prosząc cienie ojca, aby mi się dla pociechy objawiły w widzeniu, ale znowu spałem jak kamień.

Nazajutrz te same myśli, te same wspomnienia. Wywoływałem umyślnie najdrobniejsze obrazy, do których wystarczyło mi kawałek pola, drzewo, dom, kościół i kawał nieba, ależ bo to wszystko owiane było temi uczuciami, jakie mnie ożywiały wówczas, kiedy na nie patrzyłem i wrażałem je sobie w pamięć. Wywoływałem też wspomnienie ojca, matki, siostry, brata w najróżnorodniejszych pozycjach, w najdrobniejszych scenach i postawach, jakie tylko z najgłębszych kryjówek pamięci mogłem wydźwignąć. Była w tem trucizna i balsam zarazem. Kiedym całą mocą przypomnienia odnawiał ułamkami przeszłość, zapominałem na chwilę o twardej rzeczywistości. Wyobraźnia pozwalała mi żyć we własnym świecie i zapominać o ryglach i kracie.

Ale za chwilę wracała jak nawałnica myśl, że to wszystko przepadło, że tego nigdy już nie obaczę i wtedy żal straszny, niewypowiedziany zamiatał mną jak wicher tumanem śniegu.

Takiego żalu nie znałem, nie wiedziałem, że może istnieć. W ostatnich kilkunastu latach niedomagania fizyczne sprawiały, że nigdy nie mogłem cały niejako roztopić się w jakiemś uczuciu. Nie byłem bez uczuć, tylko one prześlizgiwały się po powierzchni duszy, nie przenikając mnie całego. Radość, smutek, gniew nie rządziły mną nawet na mgnienie oka, bo ociężałe ciało nie podążało za niemi. Ani razu nie uniosłem się tak, aby wyskoczyć niby strzała z cięciwy. W połowie drogi do uniesienia się opadałem jak bezwładna bryła i już było po wybuchu.

Teraz rozpacz żalu dawała mi chwile prawie jasnowidzenia. W jedną kropelkę chwili potrafiłem zlać całe wyobrażenie o wielkości straty, jaką ponoszę i z tem spoić ból, jaki czułem w całym sobie od stóp do głowy. Mówiąc artystycznie, stawałem się posągiem cierpienia, które tak przenikało moją duszę i ciało, że nie zostawiało najmniejszego ~~[illegible]~~ komórki, wolnej od męki. W takich chwilach, które muszę nazywać jasnowidzeniem boleści, rozpływała się reumatyczna opuchłość, nerwowa ociężałość myśli, bezwładność osłabionego ciała w tym wielkim bólu, który był tak przejmujący,

i tak wielki, że stawał się prawie rozkoszą.
Gdyby ludzie zawsze mogli tak odczuwać nieodwołalność strat w kochanych osobach, toby ludzkość chyba wygubiła się samobójstwem.
Ale obok odświeżania pamiątek i przeżywania się boleścią nad ich niepowrotnym zanikiem, rozważałem i swój stan obecny.
Znajduję się w więzieniu wojskowem, na terenie wojny. Jeżeli mnie przed upływem trzech dni sędzia śledczy wezwie do przesłuchania, to będzie znak, że mnie postawiono pod sąd doraźny „Standrecht."
Na polskie wytłumaczyć to położenie można przez dwa słowa: stryczek lub kulka. O tem, ażby ze mną ze względu na godność poselską robiono ceremonie, przestałem już myśleć. Jeżeli miano jakieś względy na tę godność, to je z pewnością rozważono przed wydaniem rozkazu aresztowania. Widocznie takie są na mnie zarzuty obciążające, iż zapomniano o mojem poselstwie, bo mnie uznano za dojrzałego do szubienicy czy pala.
Będzie rozprawa. Szkoda łudzić się, że moja obrona może mnie ocalić od śmierci. Jestem wszechpolak, a całe stronnictwo dzięki oszczerstwom przeciwników politycznych uchodzi wszędzie za stronnictwo zdrajców stanu. Moja przynależność partyjna jest wyrokiem śmierci – a to co się teraz dzieje, to tylko formalności.
Rzecz cała przy rozprawie obracać się musi nie około próby wyratowania mnie od śmierci, ale około ratowania godności narodowej. Chodzi o jasne złączenie dwu zgodnych z prawdą zasad, które od chwili wybuchu wojny zaczęły się wzajemnie wykluczać: pierwsza, to moje polskie stanowisko – druga to bezwzględna moja poprawność jako obywatela austryackiego.
Pierwszą przedstawię należycie, tego się nie boję. Chodzi o drugą. Dziś, wskutek aresztowania, mam urazę i niechęć do państwa, które tak postępuje. Nie mogę dać wyrazu tej niechęci, nie ze względu, że mnie to obciąży, bo człowieka przeznaczonego na śmierć nie może już nic obciążyć, ale muszę zgodnie z prawdą przedstawić mój sposób myślenia i postępowania aż do chwili uwięzienia, a zważywszy mój dzisiejszy rankor, boję się czy nie

przesadę albo w szwarcgelberstwie, albo w nacyonalizmie polskim, który nie byłby zgodny z prawdą. Tymczasem sęk tkwi w tem, aby rozprawa wykazała, że stracono człowieka, który był całkiem poprawnym austryackim obywatelem, za to tylko, że był prawdziwym Polakiem.

Obmyśliwałem więc tę obronę, aby została jako dokument oskarżający rząd, który skorzystał z wojny dla przywrócenia systemu metternichowskiego. Potomności ku zbudowaniu.

Po skończonej rozprawie powiedzą mi, że wyrok dostanę w celi na piśmie. Dobrze. Wiem, że każdy inny wyrok ogłasza się zasądzonemu. Nim wyrok śmierci zostanie potwierdzony przez Komendanta Korpusu, minie noc i przedpołudnie. Potem odczytają mi go w celi i dadzą dwie godziny czasu dla załatwienia światowych interesów. Przyjdzie też ksiądz dysponować mnie na śmierć.

Co robić przez te dwie godziny? Dostanę zakazane więźniom artykuły pisarskie, ale w dwu godzinach nie spiszę wszystkiego, cobym chciał jako testament zostawić przyjaciołom i zwolennikom.

Nie! ja nie powinienem zginąć, bo mam dużo narodowi do powiedzenia. Zbierałem w życiu doświadczenia i spostrzeżenia, które mają wielką wartość — one nie powinny zginąć wraz ze mną. To jest rabunek, popełniony na duszy narodu.

I znowu rozpacz, żal, ból niewysłowiony. Otrząsam się z niego, powiedziawszy sobie: „Głupiś! Wmawiasz w siebie posiadanie tajemnicy, która ma odrodzić strupieszały naród, a naprawdę tchórzysz przed śmiercią i puszczasz się na udawanie."

Na złość samemu sobie wgłębiłem się w te dwie godziny czasu przed egzekucyą. Spowiadać się nie będę. Jeżeli jest Bóg, a dopuszcza do mordowania niewinnych, to wolę piekło niż obcowanie z niesprawiedliwym Bogiem. Jeżeli piekło jest, to tam cierpią same ofiary, sami nieszczęśliwi — moje miejsce było zawsze i jest między cierpiącymi, a nie bawiącymi się.

Ale gdy tak wszystko zważę, to nie uwierzę w nieśmiertelność duszy. Śmierć i nicość jest niwelatorką win i zasług.

Wszelako była to nad wyraz ciężka praca wczuć się, wmyślić się, wgłębić się w położenie skazańca. Co chwila żal i rozpacz przerywały ten wątek; to znowu bunt, jakiś protest, który mówił: „To nie może być"; czasami strach. Ale nauczony doświadczeniem, jak wyczerpać żal, zabrałem się do odczucia i wyczerpania strachu. Odpędzanie strachu od siebie, wiedziałem, że nie przyda się na nic. A więc postanowiłem bać się i zagłębić strach aż do dna. Jakoż wkrótce doszedłem do tego, że zacząłem trząść się na całem ciele. Przyjąłem za pewne, że nie stracę od razu pamięci i czucia, że się będę męczył, że strach przeniknie mnie tak całego, jak mnie boleść przenika chwilami, że mnie czeka wieczne potępienie – jednem słowem przeszedłem wszystkie najgorsze wyobrażenia, a z niemi strach, jako uczucie od nich niezależne, nieumotywowane, nerwowe, jako instynkt bytu u żyjącego stworzenia.

Spociłem się, zrzuciłem futro z siebie, ale pracowałem tak, że wreszcie po długim czasie zużyłem niejako strach.

Zaczem w tych dwu godzinach przed straceniem popiszę listy, będę ponadto zdurzony i tylko na pół przytomny, oraz napiszę odezwę do narodu, jako mój testament.

Ale tutaj znowu protest życia wmieszał się w to i wołał, że ja mam tyle do objawienia narodowi, iż nie dwie godziny ale i dwie doby nie wystarczyłyby na spisanie. Więc targający żal dławił mnie, że to co wiem przepadnie, że pamięć po mnie zaginie, że więc daremnie zmarnowałem życie na pracę narodową i zginę marnie, nie zostawiwszy po sobie trwalszej pamięci niż pies zduszony przez oprawcę.

Musiałem długo przedrwiwać samego siebie i to moje rzekome cenne objawienie dla narodu, zanim uzyskałem to, iż ta myśl przestała mi mącić moją główną osnowę.

Ciekawa rzecz, jak człowiek pragnie w chwili zgonu mieć koło siebie kogoś życzliwego, coby za nim płakał, za niego się modlił i ostatnie słowa skazańca wsiąkał w siebie jak gąbka wodę. Kiedy wżyłem się już w dolę skazańca, ciągle mi tego kogoś bra-

kowało i to był może najtwardszy szczegół do oswojenia się z nim. Któż bo ze skazańcem będzie? Sędzia odczytawszy wyrok, odejdzie, ale choćby został, jaka pociecha z człowieka obcego, który tę rzecz traktuje biurokratycznie, a nie chce sobie popsuć apetytu. Umundurowany ksiądz tłumi ziewanie i ukradkiem patrzy na zegarek, kiedy się ta nuda wreszcie skończy. Żołnierzowi w pełnym rynsztunku, który skazańca pilnuje, nie wolno rozmawiać i gdyby więzień mimo to chciał rozmowę zawiązać, wywoła u strażnika tylko niechęć i strach przed przełożonymi i przed ciężką karą za przekroczenie przepisu. Innym więźniom nie wolno zbliżyć się do skazańca – dla pewności są zaryglowani – a nawet przez kratę nie wolno patrzeć na egzekucję.

To odebranie ostatniej pociechy, to jest rozmowy z kimś drogim i bliskim, co pamięć ostatnich chwil uniesie z sobą, jest może najsroższem urządzeniem przy tem maszynowem zgładzaniu ludzi ze świata.

Wreszcie i z tem się oswoiłem, i już owe dwie godziny się skończyły, więc idę w konwoju żołnierskim pod słupek. Oczy mi zawiążą, bo taki przepis – od tego się nie wyproszę i nie będę mógł patrzeć w lufy karabinów. Wiążą mnie więc do słupka, zasłaniają oczy i dreszcz mnie przebiega – to z zimna, nie ze strachu!

Kiedym nareszcie przełamał siebie i całą drogę do stracenia przerobił szczegółowo w duszy – uczułem się spokojniejszym. Cóż mnie gorszego może spotkać nad śmierć? A ja na nią już jestem całkiem przygotowany. Jestem pewny, że gdybym w rzeczywistości doznawał innych wstrząśnień niż teraz w wyobraźni, to zaraz zwrócę uwagę na tę różnicę i będę czynił spostrzeżenia nad swoim stanem, a tak mogę być pewnym, że nie uchybię swojej godności, godności żołnierza polskiej idei, za którą głowę oddałem.

Jestem więc całkowicie gotów. Strach mnie już nie zaskoczy znienacka, nie może mi się zdarzyć żadna nieprzewidziana okropność. Ale mi życia żal, żal bezbrzeżny, żal ludzi, zwłaszcza najbliższych, a szczególnie żal natury, rzek, lasów i pól, oraz tego słońca i księżyca, których już nigdy nie ujrzę w majestacie ich blasku.

Na takich zgrzytach i szamotaniach z sobą przeszedł drugi dzień, w którym nigdzie mnie nie wzywano, a otwierano tylko trzy razy. Przy sposobności takiego otwierania zapytałem klucznika cugsfirera, czy wolno okno otworzyć. Skwapliwie zezwolił, zaznaczając, że panuje u mnie smród nie do opowiedzenia i pouczył, że sam mogę okno otwierać. Postawiłem stół pod ścianę, na nim stołek służący za umywalnię i wspiąwszy się, próbowałem tej sztuki. Jak się później przekonałem, okna wogóle nie były pozamykane. Tylko świeże drewno, dopiero co pomalowane, rozpęczniało, a farba skleiła ramy. Dolne dwie szyby matowe nie dały się rozerwać, zabrałem się więc do górnej szybki poprzecznej. Po długich szarpaniach opadła ta szyba i pociągnęła szybę z zewnętrznego okna. Ale urządzenie było tak wadliwe, że już okno nie dało się przymknąć. Mniejsza o to. Będę spał w czapce, a zawsze przynajmniej dopływ świeżego powietrza jest zapewniony.

Na trzeci dzień rano powiedziałem sobie, że jednak trzeba coś zrobić, aby w tej wilgoci nie zapuchnąć i nie zapaść obłożnie. Wstawszy więc rano, odrobiłem ćwiczenia gimnastyczne wedle systemu Müllera, wymyłem się gruntownie i natarłem całe ciało do czerwoności. Mróz bijący przez okno odświeżył mnie nieco, ale obrzmiałe kości bolały mocno przy poruszeniach.

I znowu zaczął się dzień długi, jednostajny, podobny do poprzednich. Znowu przerabiałem tesame żale, tesame obrachunki z życiem, tę samą Kalwaryę człowieka, przeznaczonego na rozstrzelanie. Odkryłem, że dzień to niezmiernie długa miara czasu. Od lat przeszło dwudziestu brakowało mi zawsze czasu, zawsze dzień był za krótki, a jeżelim kiedy miał chwilkę wolną na rozejrzenie się, z niepokojem i zdziwieniem odkrywałem, że miesiące i lata biegną tak szybko, że nim się człowiek oglądnął, już minęło pół roku albo i więcej. Tylko we

wczesnej młodości godziny i lata szkolne, zwłaszcza zimowa ich część, ciągną się w nużący sposób. Ciężko doczekać się świąt, albo wakacyi, a każdą minutę prawie wyczuwa chłopak w całej jej nudnej długości. Później to się zmienia i życie zaczyna uciekać zbyt prędko.

Otóż w więzieniu zaczął mi się czas dłużyć, jak niegdyś w gimnazyum, zwłaszcza w listopadzie i grudniu a potem w lutym i marcu. Jedyną przerwą, upragnionem urozmaiceniem, była czarna kawa rano i wieczór, oraz obiad. Po spożyciu więc jednego posiłku czekałem z utęsknieniem na drugi, nie z głodu, ale dlatego, że to był znak upłynięcia tylu a tylu godzin, że to była jednak przerwa samotności.

W trzecim dniu po obiedzie o niezwykłej porze otwarły się rygle i wszedł bezbronny żołnierz w czapce i płaszczu, a gdy się drzwi zawarły, rzucił przyniesiony tobołek pod stół i zaczął chodzić po celi nie patrząc na mnie. Mnie zabrakło przestrzeni do chodzenia, więc usiadłem na siennikach.

Żołnierz był zapewne starszym rezerwistą już około czterdziestki, bo i siwe nitki pokazywały się w długich kosmykach włosów. Z pod kosmyków przeglądał opalony ale dawno niemyty kark, zaczem usprawiedliwione było moje przypuszczenie, że we włosach musi mieszkać wojenne robactwo. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia, ale szybko zapanowałem nad nerwami i postanowiłem wodą i ręcznikiem do upadłego bronić się przed zawszawieniem, a gdy nie podołam, zgodzić się z losem. Ostatecznie nie długo mi życia, a więc moje resztki wrzucę do bezimiennego dołu ze wszami czy bez, to wszystko jedno.

Żołnierz ten miał siwe niesamowicie błyszczące oczy i wyglądał na pijanego lub waryata. Osobliwością był nos, prawie kształtny z gałeczką foremną na końcu, która świeciła się osobliwą czerwonością. Nie była to czerwień pijacka, lecz jakaś barwa świeża, jak gdyby mu umiejętnie końcę nosa obłupiono ze skóry.

Po dłuższej chwili zapytał mnie niewprawną niemczyzną, jaki jestem „Landsmann." Odpowiedziałem, że Polak, poczem on dodał, że rozumie po polsku jako Ślązak z Bogumina. Okazało się, że mówi mieszaniną,

której wymowa i konstrukcya jest polska, ale więcej tam wyrazów niemieckich i czeskich niż polskich. Zwyczajny okaz Wasserpolaka z Opawszczyzny lub z pogranicza morawskiego. Taki Wasserpolak zalicza się zawsze do narodowości czeskiej lub niemieckiej i obraziłby się, gdyby mu powiedziano, że jest Polakiem.

Przyszedł tu do więzienia pod zarzutem złamania subordynacyi. Jest więc moim „Szlafkamratem." Z zawodu wyrobnik, powołany przy dawnej mobilizacyi pod broń, odłamał nogę od krzesła i obił nią feldwebla. Odsiedziawszy sześć miesięcy, obił kilku policyantów w Krakowie, stawił opór patroli, która go aresztowała i znajduje się już trzynaście miesięcy w procesie. W tym czasie był trzy razy w szpitalu pod obserwacyą psychiatryczną i teraz wraca właśnie ze szpitala do więzienia śledczego.

Nie ma co mówić: przyjemny współtowarzysz na przestrzeni trzech metrów kwadratowych.

Skoro mi dano takiego szlafkamrata, to już najlepszy dowód, że uznano mnie za ostatniego zbrodniarza i że właściwie już jestem zasądzony, a rozprawa będzie tylko formalnością dla poprawności. Żadnych złudzeń!

Mój żołnierz rozgadał się. Opowiadał same awantury z żandarmami i policyantami, same bójki w szynkach i na ulicy. Wedle tych opowiadań przedstawił mi się jako rzeczywiście pomylony na umyśle, gwałtownik i burda. Gdy będziemy spać obok siebie, nie jest wykluczone, że się rzuci na mnie i zacznie dusić. Patrzę mu w oczy: są naprawdę obłędne. Lepsza jednak była samotność niż takie towarzystwo.

Opowiadał, że był również na wojnie. Pod Bierzanowem nie dostali przez kilka dni jeść, choć wozy z chlebem ciągnęły za nimi. Chleb na deszczu rozmókł i zaczął gnić, wydając smród nie do wytrzymania, a kapitan nie pozwolił wyszukać zdrowszych bochenków, tylko głodził żołnierzy dalej. Kilku żołnierzy zjadło konserwy bez pozwolenia i zostali po sądach ukarani tz. Anbinden, to jest austryacką karą powieszenia na godzinę.

Nie umiałem wprawdzie pogodzić jego udziału w wojnie z wielomiesięcznem więzieniem i szpitalem, ale nie wypytywałem go, tylko zastanawiałem się nad sposobem postępowania, ażeby nie poruszyć jego porywczości. Opowiedziałem też kto jestem, ale mu nic a nic nie zaimponowałem. Widziałem raczej lekceważenie dla cywilisty, który pierwszy raz siedzi w więzieniu i nie jest obyty.

W trakcie rozmowy dał się słyszeć przerażający trzask salwy karabinowej. Znowu kogoś rozstrzelano pod oknami. Ja padłem na kolana,

a mojemu towarzyszowi odkryty się oczy mocniej niż u tygrysa i zaczął pomstować na sądy i na oficerów. Biegał, jakgdyby chciał kogoś udusić.

Ciemno już było, gdy klucznik otworzył drzwi i zawołał: „Zamorski zum Gericht."

Aha! Więc utraciłem stanowisko społeczne i wszystkie tytuły, jestem tylko: Häftling Zamorski, czyli pospolity zbrodniarz.

Naciągnąłem czapkę i wyszedłem z klucznikiem na korytarz. Stanęliśmy przed izbą dla straży, skąd wywołano żołnierza w pełnem uzbrojeniu, z karabinem przez ramię, zaopatrzonym w bagnet i pouczono mnie, że mam iść trzy kroki przed żołnierzem. Pod taką opieką wyszedłem na ulicę nieznanego miasta. Szliśmy środkiem ulicy, trzymając krok; na przecięciu ulic zapytałem, gdzie iść, w prawo czy na lewo – zakomenderował: „links" i upomniał, że mi z nim rozmawiać nie wolno. Ludzi było w ulicy mało, tem więcej więc przystawali, patrząc na jegomości w futrze i krymskiej czapce, prowadzonego przez „posta".

Po kilku załamaniach ulic doszliśmy do szkoły handlowej, gdzie urzędowali sędziowie. Wszędzie straże z najeżonymi bagnetami. Kazano mi iść na drugie piętro i tam otworzyć drzwi wskazane. Znalazłem się, w jakimś gabinecie rysunkowym, gdzie przy dwóch stołach siedziało kilku oficerów i podoficerów. Żołnierz został w korytarzu na straży.

Stanąłem więc przed moim sędzią śledczym.

Dr. Knopf, adwokat z ~~Kołomyji~~ [Drohobycza] religii mojżeszowej, ~~niegdyś kandydat na posła z ramienia Poale-Syon~~, odbywa służbę wojskową jako auditor w randze oberleutnanta i jest moim sędzią śledczym. Człowiek szykowny, prawie piękny, bez wyraźnego typu semickiego, o kruczych włosach, drobnym wąsiku na okrągłej, białej twarzy i leciuchno skośnych oczach, ~~za~~ które przy pisaniu uzbraja w cwikier. Ubranie na nim oficerskie, barwy sinej feld-grau, z najprzedniejszej materyi, elegancko skrojone. Na nogach nienaganne amerykańskie żółte trzewiki i wojenne sztylpy również żółte, a niepokalane.

Najsalonowszy typ oficera, ubranego po wojennemu: kriegsmässig.

Byłem wprawdzie zupełnie wyczerpany krótką przechadzką i zachłyśnięłem świeżem powietrzem, tak że przy schodzeniu na górę, spociłem się i tchu mi brakło, ale ciekawy przyczyny aresztowania, zaraz zacząłem o nią pytać.

Sędzia kazał mi usiąść i zapowiedział, że się wnet dowiem. Tymczasem moja zbrodnia nazywa się zdradą główną: Hochverrat. Zaczął mnie wypytywać o mój udział w rozwiązaniu legionu wschodniego. Zeznałem, że ~~ubiegałem się o członkowstwo w sekcji zachodniej~~, ~~ale m~~ do Naczelnego Komitetu Narodowego, ~~ale~~ mnie socjaliści nie dopuścili, a później nie przyjęli mnie nawet na robotnika kancelaryjnego. Ze sekcyą wschodnią nie miałem nic wspólnego. Zapytany o dowody, podałem następujące: Od 16 sierpnia do 19 września 1914 mieszkałem w Krakowie, a od 19. aż do aresztowania w Białej. Proszę ~~zapytać~~ w dyrekcyi policyi i w bialskiem starostwie stwierdzić, że ani razu nie brałem przepustki kolejowej, czyli że przez czas pobytu tak w Krakowie jak w Białej ani razu nie wyjeżdżałem. Nie mogłem zatem osobiście wpływać na postępowanie ochotników legionu wschodniego, który się formował we Lwowie, Sanoku, potem w Jaśle. Że do nikogo w tym legionie nie odnosiłem się pismem, niech stwierdzą urzędnicy i oficerowie, którzy cenzurowali listy w Krakowie i w Białej.

A skoro ani osobiście, ani przez listy nie wywierałem wpływu, chciałbym wiedzieć, jaki inny sposób zostaje ponadto, abym mógł popełnić zarzuconą mi winę. Wobec tego proszę, aby mnie puszczono z więzienia, a ja zamieszkam w hotelu w Morawskiej Ostrawie, dopóki się sprawa nie wyjaśni.

Zainniał się sędzia śledczy i zaczął mnie indagować o stosunki z Warszawą, o to czy po wybuchu wojny utrzymywaliśmy tajną korrespondencyę itp. Zrozumiałem, że nie chodzi o samą sprawę legionu wschodniego, ale jeszcze i o coś więcej. Zapytałem wprost kto i o co mnie obwinia, ale odpowiedzi nie dostałem.

Przekonawszy się, że będę dalej brodził w niepewności, zacząłem rozglądać się w papierach, w które sędzia ciągle zazierał. Oczy mam niezłe, więc wkrótce poznałem papier, na którego podstawie aresztował mnie wachmistrz powiatowy. Po kilku słowach Kiero=

wnika starostwa był spisany przez żandarmów protokół rewizyi, przeprowadzonej u mnie, oraz mojego aresztowania. Rzecz mniej ciekawa – ważniejsze, jak wygląda pierwsza strona, bo to wszystko jest na drugiej.

Nareszcie p. Knopf prze~~[illegible]~~ rzucając papiery, odwrócił pierwszą stronę. Papier z drukowaną w rogu firmą nakształt winiety. Czytam: K. u. k. Armee-Oberkommando. Niżej: Haupt. Generalstab. jeszcze niżej rzymska liczba i Nachrichtendienst. Potem pisana duża liczba arabska i pisana treść rozporządzenia: Verhaftung des allpolnischen Agitatoren Johann Zamorski. Masz babo placek: odebrali mi już profesurę i poselstwo, zapomnieli o mojej prezesurze w stronnictwie i o charakterze wydawcy oraz redaktora, a zdegradowali mnie do rzędu płatnego agitatora, co ma gębę do wypożyczenia za opłatą. Do tego co za uroczysty, retoryczny styl! My dziś mówimy „des Agitators", a oni tam piszą niby jaki Klopstock w Messyadzie: „des Agitatoren". Uf!

Tytuł do J. E. p. Namiestnika. Treść, o ile przez rzadkie zaglądania za ramię sędziego wyłowić mogłem, brzmiała: Da bei der Auflösung der k. u. k. ostgalizischen polnischen Legion antimonarchische Motive massgebend waren, lege ich E. Exz. diensthöflichst anheim die Verhaftung des allpolnischen Agitatoren veranlassen zu wollen. Więcej wyczytać nie mogłem. Podpisany F. Höfer Fldmltnt.

Potem następowało krótkie pismo namiestnika do starosty, a potem polecenie starosty do żandarmeryi.

A więc sprawa nieco skomplikowana. Podejrzywają stronnictwo wszechpolskie, że jest wrogo usposobione wobec monarchii, a dowodem tego usposobienia jest rozwiązanie wschodniego legionu. Za taką rzecz jest jedyna kara: szubienica, lub w drodze łaski kulka w łeb. Jest to zatem proces nie przeciw mnie, ani też przeciw członkom sekcyi wschodniej N. K. N. lecz przeciw stronnictwu, przeciw naszemu programowi.

Kto mógł nasz program tak przedstawić przed wielkim sztabem generalnym? Socyaliści? Oni jednak udają Polaków,

budują na patryotyźmie – to niepodobna, żeby znalazł się Polak, któryby dla rozstrzygnięcia sporu, kto jest lepszym polskim patryotą, wybierał za sędziego austryacką komendę armii. W 1905 strzelali się wzajemnie socyaliści i wszechpolacy w Królestwie, ale Moskali nie wzywali na rozjemców. Przypuszczać należy, że tę wstydliwość narodowego uczucia zachowali i tutaj, boć niedorzecznością jest robić sztab austryacki sędzią nad dobrocią i wartością polskiego patryotyzmu.

Zatem nie ulega wątpliwości, że denuncyacyę zrobili Niemcy z Bielska.

Chociaż z drugiej strony nie wykluczone, że sam sztab generalny od siebie powziął to zarządzenie. Jest na papierze firmowym nazwany oddział wywiadowczy, czyli szpiegowski: Nachrichtendienst. Jego kierownikiem był aż do wojny podpułkownik Niemiec August Ostrymiecz Urbański. Konszachty Daszyńskiego i Śliwińskiego z tym panem i kłamliwe ich opowiadania, że to rząd cały dawał im przez jego usta gwarancye dla narodu, piętnowałem w bezlitosny sposób swego czasu. Może oficerowie tego oddziału zakarbowali sobie moją osobę?

Próbowałem z sędziego coś dobyć, ale nadaremnie. On sam starał się wyciągnąć mnie na jakieś półsłówka, podchwytniki w sprawie porozumiewania się tajnego z Warszawą w sierpniu. Domyślałem się, że w kołach wiedeńskich oczekiwano wybuchu powstania, a gdy nadzieje zawiodły, podejrzywano nas o udaremnienie wybuchu. Widocznie brano zupełnie serio blagi Daszyńskiego, że niech tylko jakakolwiek wojna z Rosyą wybuchnie, wnet cały naród polski się podniesie, nie pytając kto i po co Rosyę bije, byleby bił. Jeszcze śp. Aerenthal dał był naszym delegatom szczerą, lekko cyniczną odpowiedź, że nie potrzebuje sobie rąk wiązać żadnemi zobowiązaniami wobec Królestwa, bo i tak, bez żadnych przyrzeczeń jest pewny, że niech tylko ktokolwiek wypowie Rosyi wojnę, podniesie się cały polski naród, nie pytając o przyszłość, byleby jarzmo rosyjskie zrzucić, albo przynajmniej srogo się zemścić za poniesione prześladowania.

Hr. Berchtold później już nawet z nami gadać nie raczył, bo rzecz była pewna, że na wezwanie socyalistów wszyscy Polacy powstaną jak jeden mąż. Gdy tego nie zrobili, rzecz widoczna, iż odwiedli ich od tego wszechpolacy, a Daszyński z pewnością dla upozorowania swoich fanfaronad dawniejszych wytłumaczył, że to się stać mogło tylko za naszem poduszczeniem.

Po wielu pytaniach, w których widać było podrywkę, przystąpiliśmy do spisania protokołu z przesłuchania. Śledztwo odbywało się po polsku, protokół pisano po niemiecku. Sędzia dyktował, a pisał chorąży od artyleryi, jakiś poczciwy Kancelista. Było u p. sędziego słabo z niemczyzną i protokół ciągnął się wśród usilnego szukania wyrażeń, czasem bezskutecznego.

Odszedłem prawie po ósmej, a więc głęboką nocą, prowadzony przez mojego żołnierza.

Po drodze zastanawiałem się nad kilku szczegółami. Czy było możliwe, żeby sztab austryacki brał poważnie przechwałki Daszyńskiego i Śliwińskiego? A jeżeli w nie wierzył, czy mógł przypuszczać, żeby taka ruchawka w jakikolwiek sposób mogła Rosyę zaprzątnąć w czasie, gdzie technika wojnę wygrywa? Przypuśćmy, że sprawdzają się przyrzeczenia socyalistów. Cały naród zerwał się – z czem? Bez karabinów, bez dowódców, bez ammunicyi, bez jednej armaty. Jeszcze na Bałkanie można kryć się po górach, czekając aż zagranica nadeśle uzbrojenie. Ale w kraju tak gęsto zamieszkanym, tak równym, w drewnie zabudowanym nowożytna armia nie potrzebuje więcej czasu na spalenie wszystkiego i wymordowanie całej ludności, niż go potrzeba na przepisowe posuwanie się naprzód. To sztab austryacki wiedział, powinien był wiedzieć. I dla tego pomocy, dywersyi nie mógł się spodziewać. Chyba, że mu chodziło tylko o to, aby się Rosya pławiła w polskiej krwi. Po co? Opinii Rosya nie może sobie chyba zepsuć w świecie, bo ma u uczciwych ludzi najgorszą, a dyplomaci na takie dro-

bnostki jak uczciwość nie zwracają uwagi, bo się kłaniają sile.

Drugą myśl dotyczyła naszego upadku. Z Kościuszką korespondował Napoleon, aby go do wywołania ruchawki nakłonić. W latach 1888 odnosił się z tym pomysłem do prezesa Koła Kazimierza Grocholskiego minister spraw zagranicznych Kalnoky. Teraz niepodległościowym socyalistom wystarczył podpułkownik. ~~Czego wszechmocny~~ Od cesarza przez ministra zeszliśmy na agitacyę podrzędnego oficera, Niemca o polskiem nazwisku. Czego niegdyś nie osiągnął wszechmocny cesarz Francuzów od dyktatora, a później minister od prezesa Koła, to przyrzekli niepodległościowi socyaliści naczelnikowi oddziału szpiegowskiego w ministerstwie. Niegdyś monarchowie bezskutecznie targowali się o naszą krew, dziś oddajemy ją portyerom ministerstwa za darmo. Kościuszko nie dał się skusić obietnicami wszechwładcy; Grocholski odmówił rokowań z ministrem, bo chciał o tej sprawie traktować wprost z cesarzem; pp. Daszyński i Śliwiński oddawali krew narodu całego do dyspozycyi szefa oddziału szpiegowskiego.

Być może, iż się łudzili nadzieją, że wojny nie będzie, a z nią i potrzeby dotrzymania zobowiązań. Handlowali więc tymczasem tylko teoretycznie dla dotykalnych korzyści. Socyaliści dostali od rządu pieniądze na zbudowanie domu i powiększenie drukarni „Naprzodu", p. Śliwińskiemu rząd przed samą wojną „sanował" jego spółkę budowlaną ~~na pó~~ kosztem pół miliona koron, chociaż ten pan jako urzędowy bankrut, który złożył w sądzie przysięgę manifestacyjną, nie ma ustawowego prawa do zastępowania żadnej spółki, ani do wchodzenia w umowy lub przedsiębrania interesów: prawnie jest postawiony na równi z człowiekiem, zostającym pod kuratelą.

Za te srebrniki zobowiązali się ci panowie wysłać cały polski naród z Królestwa na nieuchronną rzeź. Czy wierzyli, ~~w~~ że potrafią tego dokazać? Chyba się takiemi nadziejami nie pocieszali. A jeżeli się łudzili, to im raczej kominy zamiatać, niż trudnić się polityką.

Przypuszczam, że nauczeni doświadczeniem z roku 1905, iż rosyjska rewolucya nie przyjmie się na gruncie polskim, doszli do przekonania,

że wystarczy ruchawkę ochrzcić mianem powstania polskiego, dodać jej górnych frazesów o niepodległości, nieprzedawnionych prawach itd, aby cały naród chwycił za kosy.

Gdy rachuby zawiodły, bronili się, że wszystko było ułożone tak, jak w oddziale szpiegowskim przyrzekli, ale wszech polacy udaremnili i pokrzyżowali te plany.

Straszny to upadek, kiedy znani powszechnie sprzedawczykowie narzucają się na kierowników narodu, a jeszcze straszniejszy, że naród to cierpi i ich rozkazów słucha.

Moje położenie przedstawiało mi się dalej niewyraźnie. Sędziemu wypowiedziało się, że nie będzie do mnie stosował postępowania doraźnego (standrechtliches Verfahren) tylko postępowanie badawcze Ermittlungsverfahren. Czy miało z tego wynikać, że przez te trzy dni stałem pod sądem doraźnym? Za co?

Postępowanie badawcze jest dłuższe i ułatwia bronienie się – ale to pociecha dla zwykłych zbrodniarzy. W sprawach politycznych zasługa i wina stosuje się do kierunku politycznego, jakim się kieruje rząd obecny.

Dwie są możliwości: Albo rząd uważa rozwiązanie legionu wschodniego jako przewinę, którą chce ukarać – albo też uważa całe demokratyczno narodowe stronnictwo za zbiór zdrajców stanu, których należy jak najrychlej wystrzelać, a sprawa legionów wschodniego jest tylko tym zewnętrznym, łatwym do ujęcia, licem sądowem przeciw stronnictwu.

Jeżeli pierwsze moje przypuszczenie jest trafne, to za kilka dni powinienem odzyskać wolność, bo nietylko ze wschodnim, ale z żadnym legionem nie miałem nic wspólnego. Nie moja to wina czy zasługa, tylko okoliczności i przeciwników politycznych – ale fakt zostaje faktem i w tym kierunku nikt winy na mnie nie znajdzie.

Jeżeli zaś centralizm germanizacyjny chce wrócić do systemu metternichowskiego i zabiera się do wytępienia stronnictw narodowych, federacyjnych, to ratunku dla mnie nie ma.

Tylko ja nie byłem w stronnictwie ani jedynym ani najstarszym. Zaczem spodziewam się, że lada dzień przyprowadzą tu Głąbińskiego, Skarbka i innych. Będzie zbiorowe przedstawienie.

Postępowanie badawcze zna wyroki śmierci, więc rzekome uwolnienie mnie od postępowania doraźnego nie chroni bynajmniej przed kulą.

Prawnie i po sprawiedliwości nie powinniśmy być sądzeni jako stronnictwo. Nasz program był jawny i znany, działaliśmy otwarcie, a w roku 1907 uznano nas prawie za stronnictwo rządowe. Byłoby zbrodnią wobec słuszności, gdyby Stürgkh ~~[illegible]~~ wyznaczał karę śmierci za to, na czem się opierał jego poprzednik Beck.

Ale to mała pociecha. Dziś konstytucya zawieszona i sprawiedliwości niema. Zapewne, że będziemy protestowali przeciw sądzeniu na podstawie praw wojennych naszej polityki, jaką prowadziliśmy przed wprowadzeniem ustaw wojennych. Tylko to nie przyda się na nic. Nie pomoże powoływanie się na inną opinię o nas u rządów poprzednich, bo w Austryi nieraz wieszano ludzi za zasady, które później stawały się programem nowego rządu. Juliusz Andrassy był powieszony in effigie, bo uciekł za granicę, a potem stał się historycznym ministrem. Między jego wspólnikami, których powieszono, bo nie uciekli, zginął z pewnością niejeden, który mógł był po ogłoszeniu dualizmu zasłużyć na pomniki w Wiedniu i w Peszcie. Ja nie uciekłem, więc wyrok będzie na mnie wykonany – jeżeli moi przyjaciele zbiegli, mogą po skończeniu wojny i wydaniu amnestyi liczyć na pewne, że zostaną ekscelencyami. Jest to zwyczajny, normalny, austryacki bieg rzeczy.

Przyszedłszy do celi, zastałem sienniki oba rozłożone na podłodze, a na jednym z nich spał – ale już nie ten żołnierz, przed którym miałem obawę, tylko młody, przystojny, prawie elegancki pan. Pod moją nieobecność przeprowadzono więc zmianę, z której muszę być zadowolony, bo poprzedni towarzysz nie wzbudzał zaufania.

Rozebrałem się szybko i położyłem się na drugim sienniku.

Urządzenie więzienne.

Przywiedziono mnie do Morawskiej Ostrawy, kiedy komenda korpusu przeniosłszy się z Krakowa, nie miała jeszcze czasu urządzić się należycie. Ten nieład i brak zwyczajnego, wprawą osiągniętego trybu, widać było i w więzieniu. Przy Komendzie korpusu znajduje się sąd ~~wojskow~~ garnizonowy dla wspólnego wojska i sąd dywizyjny dla obrony Krajowej. Ponieważ jednak uznano obszar Krakowskiego Korpusu za teren wojenny, więc wszystkie te sądy zamieniono w jeden, mianowicie sąd polowy Feldgericht.

Różnica tych określeń i uprawnień odbija się na więźniach. Od wyroków sądu garnizonowego czy dywizyjnego można wnieść odwołanie – sąd polowy rozstrzyga w pierwszej i ostatniej instancyi bez apellacyi. Kary na terenie wojennym są surowsze niż w środku kraju, a to ma znaczenie dla więźniów cywilnych. Za tę samą przewinę dawało się we Wiedniu czy w Gracu areszt, za którą w Ostrawie zadawano śmierć. Jest to nieszczęście mieszkańców Kraju, będącego terenem wojennym. Dla żołnierzy jest to sprawa obojętna, bo przyprowadzano ich z frontu lub z komend etapowych, a tam wszędzie obowiązują wojskowe ustawy wojenne, tak że żołnierz czynny bez względu na swoje pochodzenie podlega podczas wojny sądowi polowemu i zaostrzonemu kodeksowi karnemu.

Wskutek tego i więzienie nasze nazywało się urzędownie aresztem polowym, Feldarrest.

Zarząd więzienia spoczywa w rękach kapitana gażysty. W Ostrawie sprawował tę funkcyę rotmistrz Kościcki, Polak. U rotmistrza pracuje czasem podporucznik. Ściślejszy zarząd, taki na pół stróżowski a na pół administratorski wykonywa Sztabsprofos z przydanymi mu do pomocy podoficerami.

Ja zapamiętałem trzech sztabsprofosów. Pierwszym był ten, który mnie przyjął do więzienia, ale gdzieś w styczniu wrócił na emeryturę. Przyszedł po nim Wiktor Pál, Węgier, który za pieniężne nieścisłości i brak taktu został rychło usunięty, a wreszcie trzeci, o nieznanem mi nazwisku, który mnie z wię-

kienia wypuścił.

Zastępowali profosa dwaj feldwieble. Prawdziwym alter ego profosów był wachmistrz od strzelców tyrolskich, z urzędowym tytułem „Oberjäger", Czech, nazwiskiem Čižek. Rozważny, taktowny, dobrze wychowany człowiek. Jego zastępcą znowu był feldwebel Brunner, żyd od Wadowic, który źle mówił po niemiecku, a wcale nic, oprócz przekleństw, po polsku.

Pod ich rozkazami byli klucznicy-Beschliesser, feldweble i cugsfirerzy, w liczbie 4, 5, czasem 6. zależnie od ilości więźniów. Na kluczników przysyłano podoficerów wycieńczonych z frontu, lub rekonwalescentów. Klucznik miał nadzór nad więźniami całego piętra albo tylko połowy, jeżeli we dwóch dozór na jednem piętrze utrzymywano.

Klucznik taki był szczelnie przez cały dzień zajęty. ~~Rano~~ Dzień zaczynał się w zimie o szóstej rano, od kwietnia zaś o pół do szóstej. Budzono kluczników, ci budzili ordonansów i zaczynała się na korytarzu bieganina po wodę do wodociągu. Między pół do siódmej a siódmą otwierano wszystkie cele, aby więźniom umożliwić nabranie świeżej wody, wymycie się tym, dla których poprzednio w drbanku nie stało, oraz wymiecienie celi. Miotła była jedna, najwyżej dwie na piętro i zamiatanie musiało się odbywać szybko, ażeby w pół godziny całe piętro niemi obsłużyć. Około siódmej rozlegała się komenda: Kaffee holen! i ordonansowie szli pod wodzą klucznika, który tymczasem już był cele pozamykał, do kuchni po czarną kawę i chleb. Znowu klucznik szedł od drzwi do drzwi, odmykał, aby ordonansów wpuszczać z czarną kawą i chlebem ~~~~ do cel. W pół godziny później odbywało się znowu wybieranie próżnych szalek i znowu klucznik musiał zgrzypać olbrzymim kluczem w kilkudziesięciu fundamentalnych zamkach.

Jak świeżem i nieurządzonem w Ostrawie było więzienie, przeniesione z Krakowa, świadczy fakt, że do połowy grudnia prawie nie palono wcale w piecach, bo sprawa dostawy i składu węgla

nie była przez wszystkie stopnie hierarchii przeprowadzona.
Marzliśmy też niezgorzej, chodząc w zimowych odzieniach i z nakrytemi głowami. Kiedy w grudniu zaprowadzono wreszcie dostarczanie opału, to znowu przez całą zimę rozlegała się między ósmą a dziewiątą na korytarzu komenda: Kohlen fassen! A choć z celi nie widać było procederu, niemniej ruch panował na korytarzu, bo ordynanse sypali węgiel do kątów przy każdym piecu i wiedziało się, przy której celi już są zatrudnieni, a kiedy przy naszym piecu zaczną się bawić od zewnątrz.

Dla więźniów, nie powołanych do służby ordonansów, zaczynała się po ósmej pustka i nuda.

Wprawdzie między dziewiątą a dziesiątą znowu od schodów rozlegał się krzyk: Marodenvisite!, ale do lekarza zgłaszał się tylko ten, kto musiał. Chory miał się rano, przy zjawieniu się pierwszem klucznika, zgłosić u niego z prośbą o zaprowadzenie przed doktora.

Jest starożytny przepis, że więźniom musi się dać przynajmniej godzinę dziennie przechadzki. I znowu świadczy to o nieporządku przy świeżem wprowadzeniu się do nowego miejsca pobytu, że dopiero gdzieś w dziesiątym dniu po mojem uwięzieniu zaczęto aresztantów wyprowadzać na spacer.
Kiedy już zaprowadzono te spacery, to z początku przez przeszło miesiąc wyprowadzano nas około 10 rano na godzinę ~~później~~ ~~raz~~ przechadzki raz w dzień, później zaprowadzono dwuczasowy spacer po pół godziny przed i po południu. I znowu biegał klucznik od celi do celi, odmykał ze zgrzytem zapory i wołał: Spazieren gehen! albo: Spaziergang.

Po przechadzce była cisza. Raz na tydzień napędzano jakiegoś żołnierza, który w cywilu był fryzjerem, aby golił więźniów. Później przychodził mówiący po polsku fryzjer z miasta i golił za kwitkiem, na podstawie którego Stabsprofos wypłacał mu należność z pieniędzy więźnia. Ale ten był dopuszczany tylko do „lepszych" kryminalistów. Golił i strzygł po celach. Gdzieś w lutym czy marcu wyłowiono go, że od niektórych więźniów przenosił tajne wiadomości do znajomych

na miasto i zabroniono mu wstępu do aresztów. Zamiast niego przychodził potem inny w niedzielę i we czwartek po południu i golił w pokoju ordynacyjnym lekarza pod ścisłym dozorem kluczników, którzy kolejno wyprowadzali więźniów z cel i asystowali obrzędowi aż do odprowadzenia kryminalisty za rygiel.

Było więc po przechadzce popołudniowej cicho. W pierwszych miesiącach więźniowie liczniej zebrani w celi śpiewali niejednokrotnie – potem wyszedł rozkaz zabraniający śpiewów, krzyków i wyglądania przez okno, a klucznicy oraz strażnicy wojskowi, patrolujący po korytarzach, surowo przestrzegali rozkazu.

Po kawie wieczornej, którą rozdzielano między 4 a 6tą następowała dalsza cisza. Wreszcie około szóstej znowu otwierały się drzwi i klucznik, który miał objąć służbę nocną, w towarzystwie zastępcy profosa, przeliczał obecnych więźniów, aby ich stan nocny stwierdzić dla obliczenia jutrzejszej menaży.

W pierwszych tygodniach mego pobytu więźniowie cywilni nic sobie nie robili z zaglądających szarży. Później wydano rozkaz, że gdy szarża zagląda, nie wolno leżeć. Rozkaz ten obostrzono w styczniu na zakaz leżenia przez cały dzień, a straż chodząca po korytarzach, miała jego wykonania dopilnować. Z końcem stycznia ogłoszono, że wszyscy klucznicy i w ogóle żołnierze w służbie, nie siedzący w więzieniu, są przełożonymi, Vorgesetzte. Muszą więc więźniowie przy każdem otwarciu się drzwi, stawać natychmiast w napiętej pozycyi, Stellung: Habt Acht! oraz pozdrawiać ich ukłonem przy spotkaniu na korytarzu i dziedzińcu. Przy wejściu profosa, rotmistrza, a nawet przy wieczornem obliczaniu ilości więźniów, ma jeden z więźniów, mianowany Zimmerkommandantem, zakomenderować na spółtowarzyszów celi: Habt Acht! i zdać raport inspekcyi słowami: Herr… (Feldwebel, Zugsführer) melde gehorsamst, drei, zehn (zależnie od ilości) Mann.

Po obliczeniu wieczornem następowała urzędowa noc, przymusowo oświetlana elektrycznie. Zbyt służbiści strażnicy (postowie) nieraz już o siódmej, zaglądając przez wziernik, stukali we drzwi i wołali, że

trzeba się kłaść na siennikach. Zrobiłem spostrzeżenie, że czynni żołnierze byli względniejsi dla więźniów od rezerwistów, ci zaś od landszturmaków. Najgorszymi psami w służbie, co to koniecznie chcieli więźniowi pokazać swoją władzę i stwierdzić własną gorliwość służbową, byli niestety Polacy. Straż więzienna zmieniała się prawie co dwa tygodnie. Gdyśmy więc przez pół miesiąca nie otrzymali żadnego upomnienia od „posta", ani też w celi nie otrzymali przez wziernik żadnych grubijańskich wskazówek, okazywało się zawsze, że straż pełnili Niemcy, Kroaci, Czesi.

Ale gdy przyszli Polacy, już ciężko było wyżyć. Jeszcze żołnierze czynni, a zwłaszcza rezerwiści, nie pokazywali więźniom tak mocno swojej nadzorczej władzy. Ale pospolitak, wyniesiony po 36 latach życia do godności „infanterzysty" gorzał chęcią pokazania, że nie jest pół czy ćwierć, ale całym żołnierzem i że służbę wykonywa pedantycznie.

To spostrzeżenie i kilka innych, uczynionych w więzieniu, utwierdziły mnie w rozpaczliwem przekonaniu, że jesteśmy narodem niewolników-anarchistów. Umiemy słuchać tylko batoga. Gdy ten batog jest w rękach obcych, jesteśmy najpodatniejszem narzędziem, doskonalszem niż „knut w ręku kata", bo knut nie myśli, a my całą zdolność umysłową wysilamy, ażeby nękać wedle życzeń i zachceń kata. Batog własny strącamy przez bunt, nieposłuszeństwo, opór i popadamy w anarchię. Nie ma gorszego pana, jak pan z niewolnika. Przez dziewięć miesięcy więzienia zobaczyłem z bólem, że nie ma gorszych prześladowców nad bezbronnymi więźniami, jak polscy żołnierze, którzy uzyskawszy stanowisko zaufania jako straż więzienna, pracują głową nad tem, aby się wyróżnić jako służbiści, oraz ażeby więźniom dać odczuć, że więzienie to kaźń, a nie przytułek.

W tych normalnych ramach zdarzały się często odmiany, gdy więźnia zawołano do sądu. Więzienie nasze było aresztem śledczym, a więc nie celem dla siebie, tylko dodatkiem pomocni=

czym sądu. Rozkaz sędziego był tu wszystkiem. Toteż i obchodzenie się z więźniami zależało od sądu.

Więźniowie dzielili się na dwa gatunki: oficerowie i reszta. Uwięziony oficer miał prawo sam jeden mieszkać w celi, gdzie posiadał łóżko, a na sienniku miał prześcieradło czyste. Oficerowie chodzili osobno na przechadzkę w grupach, dowolnie dobranych, przyczem tylko przestrzegano, żeby odosobnić od siebie wspólników, zamieszanych w jedną sprawę. Do sądu i z powrotem odprowadzał oficera „szarża" bez karabinu, tylko przy bagnecie lub szabli służbowej. Imiona oficerów nie były wypisane na karcie służbowej, która na wzór listy lokatorów wisiała obok kancelaryi na dole. „Przełożeni" więźniowie musieli oficerów rozbrojonych salutować wedle stopnia. Oficer też miał prawo palić tytoń, abonować gazety, brać jedzenie z kantyny lub z restauracyi w mieście i pić wszystkie trunki oprócz wyrobów wódczanych. Nigdy też nie wzywano oficerów do raportu, obliczenia itd razem z innymi więźniami na dziedzińcu. Byli więc oficerowie traktowani zupełnie inaczej.

Natomiast inni więźniowie, bez względu na ich stan „w cywilu" stali na równi z każdym aresztowanym rekrutem. Tylko za pozwoleniem pisemnem sędziego można było za własne pieniądze urozmaicić pożywienie w kantynie. Zpoza kantyny nie wolno było nic kupować.

Gazety były surowo zakazane. Jeżeli sędzia komu pozwolił na pobieranie gazety, cała troska personalu nadzorczego była natężona na to, żeby dziennik nie wydostał się poza celę. Raz stwierdzono, że jeden więzień dał na przechadzce gazetę drugiemu i zaraz mu odebrano pozwolenie na gazety. Mimo ponawianych próśb i przyrzeczeń poprawy nie przywrócono mu tego pozwolenia.

Z cywilów siedzieli nietylko więźniowie pod śledztwem, ale także i internowani Królewiacy w temsamem więzieniu na warunkach prostych żołnierzy. Ale byli między nimi przedsię-

biorcy, inżynierowie, właściciele dóbr.

Wobec feldwebli, cugsfirerów i innych „przełożonych" obowiązywało posłuszeństwo wojskowe. Więźnia, na którego klucznik się poskarżył, karano zwyczajnie siedmiodniowem odosobnieniem, twardem łożem, odjęciem kawy, rosołu i mięsa, oraz „anbinden." Po siedmiu dniach postu i leżenia na twardej podłodze, od czego niektórzy podostawali rany na ciele, oraz po wycierpieniu kilkatrotnej kary wiszenia przez pół godziny na drzwi, najtwardszy stawał się potulnym, a niekarani unikali cienia nawet. I pięknie było patrzeć na inżynierów, redaktorów, profesorów, lekarzy, przedsiębiorców – a i posłów – jak skwapliwie zdejmowali kapelusze przed cugsfirerami i feldweblami.

W areszcie sądu powiatowego był główny zarząd więzienny. Ponieważ jednak stały „frekwencya" (stan liczbowy) aresztów Korpusu Krakowskiego wahała się codziennie między 1200, 1500 a obłożonymi dwoma tysiącami, areszta te nie wystarczały. Otwarto dla nich filię, gdzieś w Przywozie czy dalej, w jakichś robotniczych domach, które zwano „Oderschacht." Świeżo przyprowadzonych do więzienia śledczego umieszczano zawsze w naszym głównym zakładzie. Tutaj też umieszczano wszystkich oficerów.

Aby dla przybyszów stworzyć miejsce wyznaczano kilkudziesięciu starszych pensyonaryuszy na „Oderschacht". Podczas przechadzki kazano wszystkim stanąć we dwa rzędy i odczytywano przeważnie do 70 imion ludzi, z których potem formowano czwórki i pod strażą plutonu najeżonego bagnetami, odprowadzano na „Oderschacht." Odbywała się ta operacya dwa i trzy razy w tygodniu, a w zimie takie dłuższe stanie na mrozie dawało się mocno we znaki.

Nowych gości przyprowadzano pojedynczo i grupami o wszyst-

kich porach dnia. Nazwisko ich urzędowe „Zuwachs" czyli przy=
rost. ~~Nowo~~ Gdy w grudniu zaczęto głośno mówić o szerzeniu
się w wojsku i wśród ludności chorób zakaźnych, zarząd więzie=
nia zarządził przymusowe szczepienie wszystkich aresztantów
przeciw cholerze, a nad „cuwaksem" zawiesił pięciodniową kwa=
rantannę.

Przybysze zatem nie chodzili na przechadzkę przynajmniej
przez dni pięć po przybyciu. Zazwyczaj starano się, aby więźnia na
spacer nie wypuścić przed pierwszem przesłuchaniem i spisa=
niem protokolu.

Było w budynku od 300 chwilowo do 700 ludzi i dlatego dzielono
ich zwykle na dwie partye dla spaceru, bo w jednej kupie
nie mogliby się na dziedzińczyku szczupłym poruszać. W dniu
egzekucyi odpadała jedna przechadzka, ponieważ miejsce tra=
cenia znajduje się w załomie podwórka spacerowego. Dopiero
kiedy w marcu ~~[illegible]~~ wypróżniono całe pierwsze i drugie piętro
dla oficerów, a nadwyżkę ludzi wyprawiono na Oderschacht,
zmniejszyła się liczba więźniów tak, że mogli odbywać spa=
cery w jednej partyi.

Jestem pospolitym zbrodniarzem.

Mój nowy towarzysz, młodzieniec lat dwudziestu kilku, nazywał się Ladislav Pospišil i był urzędnikiem rachunkowym na stacyi kolejowej w Prościejowie (Prossnitz). Dopiero przed tygodniem ożenił się z Niemkinią, posiadającą pracownię konfekcyjną i skład damskich towarów modnych w rynku. Nie dozwolono mu dopełnić bodaj przysłowiowego miesiąca miodowego, tylko po pierwszym tygodniu wtrącono za kratę pod zarzutem 1) zakłócenia spokoju publicznego, 2) wrogiego usposobienia wobec państwa i 3) zdrady głównej.

Zbrodni tych, z których każda sama jedna wystarczy dla ściągnięcia na niego kary śmierci, dopuścił się w ten sposób, że miał w kancelaryi między innymi urzędnikami mówić, iż wzięty do wojska odmówiłby posłuszeństwa, gdyby mu rozkazano przewrócić się w błoto lub kałużę (komenda: Nieder!), że nie mógłby strzelać do Rosyan, boć to są bracia Słowianie, więcby mu serce nie pozwoliło ich zabijać.

Doniesienie o tych jego zbrodniczych odezwaniach się zrobił na niego galicyjski uchodźca z Czortkowa Piotr Nakonieczny, podający się za urzędnika kolejowego i w tym charakterze zatrudniony z łaski za dzienną opłatą na stacyi prościejowskiej.

Pospišil gadał ciągle, gadał wiecznie, gadał nieprzerwanie. Jako Chanak, mówiący z domu dyalektem morawskim, zbliżonym do polskiego, przyswoił sobie nieco polszczyzny za czasów królkiego pobytu na stacyi w Dziedzicach, ale i tak nieraz chcąc dobrze wiedzieć, co mi oznajmia, musiałem prosić o niemieckie tłumaczenie. Po niemiecku mówił poprawnie i biegle, chociaż pisma sklecić nie umiał.

Tematy jego gadatliwości były bardzo skąpe. Pełne bojaźni rozważanie własnego losu, stosunki koleżeńskie między urzędnikami prościejowskiej stacyi i śpiewackie wspomnienia z Dziedzic. Prawda! stosunki rodzinne także. Śmiech mnie zbierał, gdy-

on, patrząc na przywieziony z domu kocyk, rozpłakiwał się i łamaną polszczyzną opowiadał, jak na tym kocyku żonę całował. Tragiczne rzeczywiście położenie człowieka, oderwanego w tydzień po ślubie od żony, bywało śmiesznem przez dziecinne znalezienie się i przykrem wskutek braku pełnej estetycznej wstydliwości, co nie pozwala poufnych scen z młodą żoną wyjawiać nawet przed bratem, albo przyjacielem. A cóż dopiero mówić o obcym, którego koza zrobiła towarzyszem!

Toteż na jego liryczne wywody familijne nie reagowałem. Za to poznałem całą stacyę prošicjowską dokumentnie. Był tam więc naczelnik o czeskiem nazwisku, który jako niższy urzędnik pracował na czeskiem polu narodowem, ale po otrzymaniu złotego kornierza został zabitym Niemcem. Urzędnicy byli przez pół Niemcy, przez pół Czesi i żyli z sobą w wiekuistej niezgodzie.

Z falą uchodźców przywędrował p. Nakonieczny i dostawszy zajęcie starał się naczelnikowi przypodobać. Nie umiejąc po niemiecku, zaprenumerował niemiecką gazetę, a zapytany, czemu polskich nie prenumeruje, odpowiedział, że szmat nie czyta.

Zresztą p. Pospišil nie umiał dokładnie podać swego oskarżenia tak, jak i ja naprawdę swojego nieznałem. Zarzuty, które mnie opowiedział, miał w tajemnicy od żandarma; od niego też słyszał, że ~~oskarże~~ doniesienie zrobił Nakonieczny i Kolędry z biura.

Nic dziwnego, że biedaczysko miotał się na donosiciela, ale podejrzywał i kolegów Niemców o współudział. Chodził z głową na dół zwieszoną, powtarzał jedno i to samo, a co pewien czas stawał i pytał mnie: Co mi może za to być? Jak pan myśli?

Ja myślałem co innego, a mówiłem co innego, ażeby go nie martwić przedwcześnie. Mimo, że mi zarzekał, iż słów zarzucanych nie wypowiedział, ~~jest~~ byłem, a co ważniejsza i dziś po jego uwolnieniu jestem pewien, że jednak je powie-

dział. One tak się nadawały do jego charakteru, że trudno przypuścić, aby denuncyant wyssał je z palca. Był p. Pospišil człowiekiem niedokształconym – zajmował stanowisko dość podrzędne w świecie urzędniczym – a ożeniwszy się dobrze, chciał imponować. Do imponowania zostawały mu tylko przechwałki. To więc powiedzenie, że nie posłucha komendy, gdyby mu kazano paść plackiem w błoto – jest do takich właśnie ust jakoby przypasowane.

Nie mając co robić, rozbierałem fakt jego pod względem prawnym i pod względem możliwości wyniku rozprawy. Doszedłem do tego wniosku: czescy urzędnicy nie potwierdzą doniesienia na niego ze względów solidarności narodowej. Niemieccy, widząc że chodzi o życie, również nie potwierdzą z wrodzonej Niemcom przyzwoitości. Temu drugiemu twierdzeniu Pospišil nie dawał wiary. Zarzekał, że z nacyonalistycznej zawziętości Niemcy potwierdzą doniesienia Nakonieczngo, o ile ich zarzem nie wypracowali. Ja znowu upewniałem, że Niemcy są zdolni do łajdactwa, ale nigdy do nikczemności i za kłótnie nacyonalistyczne nie denuncyują po śmierć. Gdyby chodziło o krótką kozę, Niemcy chętnie by go do niej wsadzili – ale skoro chodzi o życie, żaden Niemiec nie weźmie na swoje sumienie śmierci człowieka za głupie, bezmyślne oderwanie się.

To go nie uspokajało i dlatego utwierdzało mnie w podejrzeniu, że jednak zarzucane słowa wypowiedział. Niemniej myślałem nad sposobami obrony, bo do tych słów nie przywiązywałem żadnej wagi. Gorsze powiedzenia słyszałem z ust oficerów, którzy potem na wojnie odznaczali się, a gdyby ich kto zdenuncyował, byliby rozstrzelani. Fanfaronada i konstytucyjna nawyczka gadania, co ślina przyniesie, to jedyne wytłumaczenie.

Swoją drogą jest w tych wojennych rozporządzeniach rzeczywiście katowskie okrucieństwo, żeby w ~~kraju~~, państwie, w którem wolno było absolutnie wszystko gadać, z chwilą zawieszenia Konstytucyi

wyznaczać karę śmierci za lada nieoględne słówko, wypowiedziane ot aby język nie sparciał z braku ćwiczenia. Widziałem egzekucye, które uważałem wprost za pospolite morderstwo.

Podczas tych wyjaśnień raz się Pospišilowi wyrwało: „Taki Flüchtling, ten Polak z Galicyi," gdy mówił o Nakoniecznym. Przerwałem zaprzeczeniem, że ten Nakonieczny nie może być Polakiem. Niema Polaka, prócz tych, którzy siedzą w więzieniu, któryby za takie oderwanie się denuncyował Czecha. Ten pan, Piotr czyli Petro Nakoneczny jest stanowczo Rusinem. „Albo i to nie wszystko jedno? Przecież pochodzi z Galicyi." Długo i nieraz tłumaczyłem mojemu towarzyszowi różnicę między Polakiem a Rusinem, ale jak mi się zdaje bez wielkiego pedagogicznego skutku. Najbardziej bolało go, że z litości dał był temu uciekinierowi kołnierzyk i mankiety, aby mógł się przed ludźmi ~~wykaza~~ pokazać.

Skonstruowałem powoli dla Pospišila bieg sprawy. Oto Nakonieczny stracił nadzieję, żeby Czortków mógł być odzyskany, a on przywrócony do swego stanowiska kolejowego. Zapragnął zatem wkręcić się do Kolei Północnej i dlatego przypochlebia się naczelnikowi, dlatego uczy się na gwałt po niemiecku i nie chce wdawać się z Czechami, lecz przestaje z Niemcami. Leży to zresztą w naturze Rusinów. Ci z nienawiści do Polaków oddali siebie hakatystom na usługi.

W tych aspiracyach przeszkadzał Nakoniecznemu brak wolnego miejsca. Widocznie musi nie mieć k. należytych szkół, skoro oczy swoje zwrócił na miejsce, zajmowane przez Pospišila – inaczej ubiegałby się o stanowisko urzędnika ruchowego lub administracyjnego. Dla osiągnięcia tego celu trzeba Pospišila usunąć. Stąd pobudka do denuncyacyi, bo przez zaaresztowanie i osądzenie mojego towarzysza miejsce będzie opróżnione.

Ta rekonstrukcya sprawy przemówiła do przekonania Pospišilowi, więc zaczął pytać, jak się ma bronić i jak zeznawać przy śledztwie. Radziłem ~~tak~~, żeby przyznał się do powiedzenia,

iż bezmyślnie komendy „Nieder" na błocie wykonywać nie będzie. To powiedzenie jednak, niech tłumaczy związkiem z prowadzoną rozmową, gdzie koledzy opowiadali, jak podoficerowie dla szykany i pokazania swojej władzy, rozmyślnie i bez potrzeby każą wykonywać to padanie kilkadziesiąt razy z rzędu i przez złośliwość prowadzą żołnierzy na kałuże, osty i krzaki, aby im dokuczyć. Otóż przy takiem ćwiczeniu na błoni, nakazywanem tylko dla dręczenia ludzi, groził nieposłuszeństwem — ale na myśl mu nie przyszło opieranie się rozkazowi w bitwie, skoro tam jego własna chęć zachowania życia będzie mu kazała kłaść się w rowie i nawet w gnoju.

Aś podchoczył z radości na moje wywody i opowiadał, że taka rozmowa rzeczywiście się odbywała, że urzędnicy, którzy służywali wojskowo, przytaczali horrendalne wypadki znęcania się nad żołnierzami i że Nakonieczny, udając najbardziej doświadczonego, najwięcej przytaczał takich nieludzkich nadużyć. On właśnie mówił, że przełożeni każą rekrutom robić „nieder" po kałużach, szutrowiskach, w śniegu i w tarninie.

Tem lepiej więc. Radziłem zatem całą tę rozmowę przytoczyć ze szczególnem naprowadzeniem tych prowokacyjnych opowiadań Nakoniecznego, które takie oświadczenie z ust Pospíšila wywołało, ale akcentować ciągle, że tych szykan i znęcań się dopuszczają się podoficerzy. W ten sposób nie dotknie się oficerów, zasiadających w trybunale.

To częściowe przyznanie się jest wskazane, aby w sędzie obudzić zaufanie i wiarę w prawdomówność oskarżonego, a przez to usposobić ich do dania wiary stanowczemu zaprzeczeniu słów dalszych o słowiańskiem braterstwie Rosyan. Do tego za żadną cenę się nie przyznać, lecz jak najbardziej stanowczo wyprzeć się.

Przy wyjaśnieniu owych oświadczeń o „nieder" należy się powołać, że rozmowa toczyła się w kancelaryi, a więc w lokalu zamkniętym, do którego wstęp jest publiczności wzbroniony, zatem takie odezwanie się nie było uczynione publicznie i nie może podpa-

dać pod wojenną karę za zakłócenie publicznego spokoju (öffentliche Ruhestörung).

Z zaprzeczeniem drugiego oderwania się: „Mein slavisches Herz wird es nicht zulassen gegen die Russen, welche unsere Brüder sind, zu schiessen” nie bardzo mu się wydawało, że daleko zajdzie, bo ciągle był pewny, że któryś z Niemców potwierdzi doniesienie Nakoniecznego. Moje zapewnienia, oparte na charakterze niemieckim, nie bardzo się chwytały jego umysłu.

Swoją drogą, gdyby dwóch świadków potwierdziło te jego słowa przysięgą, kulka w łeb nieuchronna i niechybna. Ja go uspokajałem, jak mogłem, ale we własne kojące słowa nie bardzo wierzyłem. Aby jednak przecież jakieś widoki czy podstawy do nadziei w nim obudzić, radziłem zakwestyonować wiarogodność świadków. Co do Niemca, gdyby się taki znalazł, powołać się na nienawiść narodową, nationale Gehässigkeit. Gdy już z protokołów będzie wiadome, kto to, ma Pospišil w pamięci, przez żonę, przez przyjaciół szukać faktów, któreby wykazywały, że ten pan przez nienawiść plemienną do Czechów może dopuścić się krzywoprzysięstwa. Nakonieczniemu zaś zarzucić, że pragnąc zająć miejsce jego, zadenuncyował go w pogoni za chlebem. Jeżeli się przedstawia jako Polak, zarzucić mu kłamstwo i utrzymywać stanowczo, że jest Rusinem.

Takie zachwianie wiary sądu w prawdomówność jedynych dwóch świadków, może obwinionego uratować od śmierci, chociaż nie od kozy.

Na takich pogwarkach schodziły nam dni naszej samowtórej samotności. Z początku wypoczęty odosobnieniem umysł rzucił się z łakomstwem na tę nową sprawę, badał szczegóły, odtwarzał ją sobie, obmyślał obronę itd jednem słowem jak gąsienica motyla tworzył sobie z tej nowości kokon, w który się owijał i zapominał na chwilę o sobie.

Ta robota przeżuwania czy wysysania sprawy Pospišila szybko się wyczerpała. Interesowany nie dostarczał nowych szczegółów, a dawne były przerobione i wyżyłowane do cna, aż do niesmaku. I tu zaczyna się męka.

Mój towarzysz zaczynał wszystko na nowo z tąsamą żywością i przejęciem jak na początku, a zaczynał to samo i temi samemi słowami. Mimo jego rozmowności zdarzały się czasem przerwy w pogadance. Wtedy on siadał na stołku umywalni i gryząc paznokcie popadał w zadumę. Nagle podnosił oczy na mnie spacerującego i z natężeniem oczu, akcentu, uwagi takiem, jakoby nieznaną zupełnie rzecz dobywał z pamięci, pytał mnie po raz setny, ~~ja~~ o moje mniemanie, czy on będzie zasądzony, czy nie, lub też po raz nie wiem który opowiadał o Nakoniecznym, i o swoim kołnierzyku.

Musiałem zacinać wargi, czasem do krwi, żeby nie wybuchnąć. Wolałem bezmyślnie marzyć i dumać, niż z nowym zapałem obrabiać rzecz tysiąckrotnie wymłóconą do gruntu. Niejeden zbierało mi się na wybuch niecierpliwości, ale zawsze się hamowałem.

Przykra jest przymusowa samotność za kratą, gdy nie ma ani książek, ani przyborów do pisania, ale od tej samotności zdaje się przykrzejszem i nieznośniejszem jest przymusowe towarzystwo człowieka niedobranego. Nie można odejść od niego, zostawić rozkoszującego się własnem opowiadaniem w samotnem zacietrzewieniu, nie można uwolnić się od słów niepożądanych i niewitanych, które padają na siebie, jak jesienny deszcz na psią budę z beznamiętną wytrwałością, od której można oszaleć. Ma się żal do swojego człowieczeństwa i chciałoby się przemienić w psa, gołębia, w każde zwierzę, byle uciec lub przynajmniej nie rozumieć. A to się nie da.

I w tem leży okropność więzienia. Na przestrzeni kilku metrów kwadratowych zamkną się z drugim i już się od niego nie odczepisz ani w dzień, ani w nocy, ani przy jedzeniu, ani przy załatwianiu funkcyj naturalnych: nigdy. A gdy taki przymusowy towarzysz

chce cię torturować, musisz dzień za dniem znosić kapanie słów na nogę, jak w średnich wiekach torturowany znosił bezustanne kapanie wody kroplami na czaszkę.

Miała jednakże ta rozmowność p. Pospiszila także i swoje korzyści. Gdy rano po budzeniu plutonowy otworzył drzwi, już go trzymał Pospiszil za guzik i gestykulował rękami i gadał galopem, bo czas krótki. Już na drugi dzień znał i klucznik dokładnie jego sprawę, oraz hultajstwo Nakoniecznego i historyę kołnierzyka z mankietami. Ale nie tylko sam gadał, lecz także i wypytywał się o wszystko. Gdyby nie on, nie znałbym ani połowy tego co wiem o wewnętrznem życiu więzienia, bo dostawszy się tam, postanowiłem o nic nie prosić i o nic nie pytać. Przestałem być osobą, a stałem się bezwolną rzeczą, którą tylko ręce kary nakształt lewarów poruszają. Niemniej za pośrednictwem Pospiszila dowiadywałem się o rzeczach i ludziach.

Więc naprzód nasz klucznik cugsfirer jest synem chłopa tyrolskiego. Był w wyprawie serbskiej i ma przestrzeloną lewą rękę w dłoni na wylot. Gdy po ukończeniu kuracyi jeszcze wypocznie w służbie więziennej, pójdzie na front z powrotem.

Następnych dni rano między budzeniem a śniadaniem, kiedy drzwi cel były otwarte dla umożliwienia nabrania wody u wodociągu, ~~wym~~ podania dalej miotły itd, Pospiszil od razu zaczepiał na korytarzu więźniów tak cywilnych jak wojskowych, opowiadał swoją przygodę, utwierdzał się we własnem przekonaniu o swej niewinności i ~~w~~ dowiadywał się przyczyn, dla których inni siedzą. W ten sposób byliśmy nie mieszkańcami jednej odosobnionej celi, a członkami wielkiej instytucyi: więzienia wojskowego.

Zdaje mi się, że już na drugi dzień utworzyły się same przez się wzajemne stosunki bytowania obok siebie. Ja wstawałem wcześniej, bo już gdzieś od piątej nie spałem. Zaledwie usłyszałem na korytarzu kroki i potem charakterystyczny szum ~~ko~~ wodociągu, wiedziałem, że to ordonans od kluczników, który pomywszy

się zaczną budzić więźniów. Nie czekałem więc, tylko ułożywszy miednicę na klozecie, wymywałem się gruntownie. A gdym już był ubrany, wyczyszczałem dokładnie miednicę i dopiero wołałem na Pospisila, aby wstawał. Gdy i on się umył, czyścił miednicę, aby ją postawić na jej własnym stołeczku. Do tego należało naczerpanie wody do dzbanka, którego dokonywaliśmy na przemiany, on jednego dnia, a ja drugiego.

Po umyciu składaliśmy sienniki jeden na drugi, a na nich „deki." ~~Drzwi już do tego czasu~~ Następnie brało się z korytarza miotłę i jednego dnia on, drugiego ja wymiataliśmy celę skrupulatnie, zwłaszcza ze słomy, która wypadała przez rozporki sienników. Trudniejsza rzecz była ze ścieraniem wody, którą się podczas mycia na podłogę rozpryskało. Szmaty stosowne, czyli po więziennemu „hadry" mieli tylko panowie szarża nadzorcy i marzyć nie było można o tem, ażeby „heftlingom" pożyczyli.

Przy kawie musiał mój towarzysz z reguły przypomnieć, jak to on nie do takiej lury nawyknął, lecz miał w domu prawdziwą kawę z prawdziwą śmietanką, a do tego z rąk żony. Było to tak regularne jak modlitwa przed jedzeniem w klasztorze. Wielce się ucieszyłem, gdy ogłoszono rozkaz, że okna mają być otwarte od obudzenia aż do wypicia kawy. Uzyskiwałem bowiem i dotąd zgodę towarzysza na otwarcie okna, ale na krótko. Po ogłoszeniu tego rozkazu on sam pilnował jego skrupulatnego wykonania, aby miał czem się chwalić przed szarżami – ja zaś miałem świeże powietrze, do którego przywykłem.

Po śniadaniu chodziliśmy. Umówiliśmy się, że będziemy mijać siebie w środku celi, idąc ku przeciwnym ścianom i równocześnie pod ścianami zawracać. Godziny całe upływały nam na tem niby to chodzeniu, gdzie człowiek zacząwszy od jednej ściany, przy trzecim kroku krzyżował się z kompanionem, a na szóstym musiał robić zwrot, dla tego samego celu. W tych naszych ruchach nie było

nie swobody ludzkiego chodzenia, lecz mechaniczne, czysto marjonetkowe poruszenia, wykonywane w takt. Gdy jeden takt zmylił, drugi przestawał chodzić, jakgdyby maszynerya się zepsuła. Za mała była przestrzeń do chodzenia i dlatego poruszenia na niej musiały przyjąć formy mechaniczne.

Jedna wszakże trudność była uciążliwą. Morawska Ostrawa jest miastem najczarniejszem w Austryi i zwie się popularnie Schwarzes Ostrau. W powietrzu unosi się tam ciągle sadza i kopeć nitkami, płatami, pyłem, a wciska się wszędzie. Kołnierzyka nie da się w Ostrawie przez cały dzień nosić, bo popołudniu jest już całkiem osmolony. W godzinę po dokładnem wymyciu się już są nozdrza czarne wewnątrz i czernią od razu chusteczkę do nosa – pociągać ręką po twarzy jest niebezpiecznie, bo można niewidoczny płatek sadzy rozgnieść i przez całą twarz rozetrzeć w kształt czarnej smugi.

Otóż po trzech dniach pobytu w Kozie stałem się brudny taki, iż miałem obrzydzenie do samego siebie. Przyzwyczaiłem się był od ~~chwili zostania~~ lat z górą dwudziestu do zmieniania bielizny prawie codziennie. Był to zbytek co prawda, ~~ale~~ zgodny z charakterem człowieka, wychowanego w nędzy. Zaledwie dobiłem się jakiegoś grosza, obracałem go na ciągle czystą bieliznę. Gdy w podróży musiałem tę samą koszulę ubrać trzeci raz, zdawało mi się, że mnie ciało swędzi od brudu. Do tego nawykłem od 15 lat przynajmniej raz w tygodniu używać parówki, masażu i gruntownego szorowania twardą szczotką lub heblowinami, nie mówiąc o tem, że obok tego zmywałem się codziennie wodą zimną cały i wydrapywałem się ręcznikami na sucho. Była to z pewnością przesada, ale człowiek przyzwyczajony do takiej przesady, cierpi podwójnie z powodu już nieurojonego, lecz rzeczywistego brudu. Cierpiałem też naprawdę i zacząłem u Kleczyńka „meldować się" na każdem otwarciem drzwi o świeżą bieliznę z mojej

walizki, złożonej w kancelaryi. Klucznik obiecywał przedłożyć moją prośbę wyżej, ale i na tem się skończyło. Raz zaglądnął do nas feldwebel Brunner i obiecał również spełnić moją prośbę. Nie znaliśmy jego nazwiska, ale uderzyło nas, że taka krzywa pokraka może być „sztandowym" to jest czynnym feldweblem. Krótka szyja wyrastała mu nie z pośrodka ramion, lecz niejako z boku, z piersi. Wskutek tego obojczyk mundurowy, przyciśnięty brodą, wysuwał na karku oba swoje końce aż na kość potyliczną, wskazując jakoby ten pan nie umiał wprost zakładać części składowych munduru na siebie. Pokpiwaliśmy też z niego i w odróżnieniu od innych szarży, widywanych czasem na korytarzu, nazywaliśmy go feldweblem z kołnierzem, co Pospisil skrócił na „kołnierzarz".

Raz zaglądnął do nas elegancki p. Czyżek, czyli oberjäger i jemu również przedłożyłem prośbę o świeżą ~~bl~~ bieliznę. Tak modliłem się o pozwolenie na użycie swoich własnych koszul, które mi zabrano pod zamknięcie. Nakoniec wyjaśniono mi, że bieliznę wydaje się raz na tydzień, w sobotę, że więc powinienem cierpliwie czekać. Jednakże sobota przyszła i już nadchodziła noc, a ja byłem bez bielizny. Przy wieczornem obliczaniu zrobiłem przedstawienie oberjegerowi i Kołnierzarzowi, więc obiecano wydać w niedzielę rano. Dla bezpieczeństwa zaraz przy budzeniu prosiłem Klucznika o przypomnienie w kancelaryi, a potem może jeszcze ze trzy razy ponawiałem prośbę i na skutek beznamiętnego uporu przecież Klucznik wezwał mnie do kancelaryi.

Przed kancelaryą stało kilkunastu ludzi, przeważnie biednych chłopów i robotników, odartych, brudnych, zabłoconych, pod strażą żołnierzy i żandarmów: widocznie dzisiejszy przyrost czyli zuwachs.

Feldwebel Brunner wyniósł moją walizkę i rzucił mi na korytarzu pod nogi. Otworzyłem i zacząłem poszczególne części wybierać, a składać musiałem na wilgotnej posadzce. Po zamknięciu zabrano walizkę do kancelaryi, mnie do celi z powrotem.

Świeżo przybyli więźniowie muszą się poddać oględzinom lekarskim, bo mogliby przywlec i rozszerzyć zaraźliwe choroby. Mnie ten zaszczyt spotkał dopiero coś w piątym czy szóstym dniu. Klucznik wezwał za sobą, przy schodach dołączył do długiego pochodu innych więźniów pod opieką podoficera i zbrojnej straży idących, więc szedłem razem z innymi na drugie piętro. Tam ustawiono nas w korytarzu we dwa rzędy i kazano stać przed Ordinationszimmer.

Znacznie później bardzo powolnym krokiem nadciągnął z dołu rosły, młody lekarz pułkowy (Regimentsarzt) jakiś węgierski żyd z cygarem w gębie i wszedł do pokoju ordynacyjnego. Żołnierze, przydzieleni do służby w kancelaryi, wyglądali co chwilę z tego pokoju i wywoływali jakieś nazwisko. Wezwany wchodził do lekarza, a reszta stała.

Ciekawa zbieranina ci moi koledzy. Przeważali żołnierze, brudni, odarci, aż wstręt obudzający. Wszyscy z frontu; ten ukradł kamratowi pieniądze, tamten postawił się oporem wobec feldwebla, ów przestrzelił sobie dłoń lewej ręki, ażeby się od służby wojskowej uwolnić. Złodziejstwo jest najpowszechniejszym zarzutem u żołnierzy, potem dezercya i złamanie subordynacyi.

Inny obraz dają cywiliści. Przeważają jakieś chudobne okazy grajzlerników, robotników, rzemieślników. Ja jeden jestem inteligentem, a obok mnie wyróżnia się tylko przedsiębiorca budowlany p. Kiersznowski. Ci cywile dostali się tutaj przez denuncyacyę. Temu zarzucają, że wyraził się nieprzyzwoicie o cesarzu; tamtemu, że Serbom przyznawał słuszność; owemu, że obraził armię; jeszcze innemu, że wyraził się lekceważąco o niemieckim sojuszniku.

Szarżowie wojskowi mają zarzuty inne. Ten jako sierżant powiatowy uwalniał za opłatą od służby wojskowej — tamten upił się na froncie — ów zgwałcił trzyletnie dziecko i zaraził je nadto chorobą kawalerską.

Są i kobiety. Jakaś dama, wcale wykwintna, podejrzana o sprzyjanie Rosyi. Kilka damek z półświatka, kawiarek, podej-

zanych o szpiegowstwo wskutek uprawiania stosunków z oficerami. ~~Przeważnie są to kasy~~ Kasyerki Kawiarniane z Sosnowca i okolicy, które utrzymywały zupełnie niewojenne stosunki z oficerami rosyjskimi, potem austryackimi i pruskimi. Na podstawie takich doświadczeń wydawały sąd o znajomych sobie armiach, ale ~~jeżeli~~ ta, która przyznała wyższość Rosyanom, szła zaraz do aresztu polowego.

Długo tak staliśmy w korytarzu, ale ja z nikim nie próbowałem rozmawiać. Wreszcie, kiedy partya imiennie do lekarza wzywanych skończyła się, lekarz wyszedł i stając przed 1-ym więźniami, pytał każdego z osobna: Was fehlt Ihnen? przyczem odchylał mu powieki i nie czekając na odpowiedź, oświadczał: gesund i szedł do ~~drugi~~ następnego. Widocznie tylko egipskie zapalenie oczu uchodzi przy wejściu do więzienia za chorobę, bo na inne cierpienia nie zważają. Ja powiedziałem lekarzowi, że cierpię na reumatyzm, a mam bardzo wilgotną celę – ale zamiast odpowiedzi, machnął ręką, spojrzał w podwinione powieki i orzekł: gesund. Wizyta lekarska skończona.

Odprowadzono nas do cel pobytu.

O wiele więcej interesującym był dzień, kiedy Pospisil przyszedł do wizyty lekarskiej. Wywiedział się o nazwiskach, przekroczeniach, chorobach, długości siedzenia prawie wszystkich cywilów w surdutach oraz znacznej części szarżów i kobiet. Miał więc co opowiadać, a że to były rzeczy nowe, słuchałem ich z zaciekawieniem, aby się rozeznać, do jakiego towarzystwa się dostałem.

Politycznym więźniem byłem podówczas ja sam jeden. Do tego przychodziła niewielka grupa więźniów wojennych to jest takich, którzy przez jakieś odezwanie się zdradzili wrogie usposobienie wobec państwa, brak wiary w zwycięztwo austryackie, upadek ducha z powodu cofnięcia się armii obu cesarstw, sympatye słowiańskie

dla Rosyi lub Serbii, niechęć wobec Niemiec itd. Wszystkie takie wynurzenia są wojennemi zbrodniami pod rubryką: zdrada stanu, lub zakłócenie spokoju publicznego. Do tego przychodzi jeszcze obraza majestatu, w jednej Austryi pomiędzy wszystkiemi państwami wojującemi, podciągnięta pod sąd doraźny z niechybnym wynikiem: śmierć.

Za zdradę stanu siedziała jakaś ulicznica, pomylona na umyśle, straszna, brzydka, bez jednej ręki, poszturkiwana przez żołnierzy i wyjąca przeraźliwym głosem dla ochoty. Sie=działa już przeszło miesiąc. Winą jej było, że miała się chwalić, jakoby cesarz austryacki ubiegał się o jej rękę, ale ze względu na podeszły wiek zaloty nie wzięły skutku. Byłaby bez wątpienia rozstrzelana za „brak szacunku, winnego osobie monarchy”, gdyby jej pomylenie nie było tak widocznem, że każdy lekarz i każdy laik musiał ją uznać za niepoczytalną.

Zresztą panowały wykroczenia żołnierskie i zbrodnie zwy=czajne jak kradzież, oszustwo, zabójstwo itd.

Pewnego razu odkomenderowano nas na spacer. Wyszli=my z Pospiszilem, eskortowani przez klucznika, ku schodom, z których schodzili inni. Na schodach straż wzmocniona. Małe drzwiczki prowadzą na dziedziniczyk niewielki, o bo=kach nieregularnych, ciągnący się pod naszą ścianą i wysokim murem oddzielony od pola nad Ostrawicą. Dziedziniec nie=równy, wyboisty, gdzie śnieg z wodą potworzył błotne kałuże. Więźniowie grupkami chodzili w kółko, miesząc błoto. Przy załamaniach muru straże wojskowe, pod drzwiami starszyz=na nadzorcza, dwaj feldwueble i kilku plutonowych.

Gdy mnie owionął wiatr po tygodniu nieprzerwanego siedzenia w celi, serce zaczęło bić niespokojnie, zimno chwy=ciło mnie przenikliwe, a równocześnie pot uderzył na ciało

i osłabłem z kretesem. Tylko przez bardzo wielki wysiłek mogłem chodzić, a w głowie mi szumiało i chwytała mnie senność. Czułem się przez pół pijanym.

Mimo wielkiej demokratyczności towarzystwo nie bardzo przypadało mi do smaku. Pierwsze wrażenie ze spoglądnięcia na kolegów, było wrażeniem brudu, niechlujstwa. ~~Nie~~ Świadomość zaś, że tu przeważają oszuści i złodzieje nie sprzyjała poufałemu zbliżeniu się.

A przecież wspólna dola łączy. Mnie tych ludzi, bez względu na charakter ich przewiny, było szczerze żal i czułem się im bliskim. Przez myśl mi nie przeszło uważać ich za zbrodniarzy, lecz zawsze miałem ich tylko za nieszczęśliwych, za ofiary stosunków wojennych. Przeważali Polacy i Czesi, bo to Korpus Krakowski - byli jednak żydzi, Niemcy, Węgrzy, Bośniacy: cała austryacka zbieranina.

Nie próbowałem jednak zbliżać się do nikogo z ostrożności. Wojna wyprowadziła na wierzch najnikczemniejsze popędy człowieka - zwłaszcza niestety u Polaków. Jakaś kożla złośliwość chwyciła ludzi, jakaś chęć szkodzenia drugim, choćby nieznajomym. To też miałem się na ostrożności, a że nie wiedziałem, jakie słowa złośliwość może przekręcić na sposób karygodny, wolałem wogóle nie gadać. Do tego Kraków i socyalizm dostarczyli tutaj znacznego kontyngentu. W tych sferach nazwisko moje musi obudzać spienioną wściekłość. Wszak urządzono na mnie napad, a potem tymczasówka wydała na mnie wyrok śmierci i przyjęto za pewnik, że jestem rosyjskim agentem - co prawda niepłatnym. I za uszanowanie bodaj tej strony mojego charakteru ze strony przeciwników, doprowadzonych do szału i zapamiętałości, muszę być wdzięcznym. Pisali socyaliści, że Zamorski jest moskalofilem, ale tak głupim, że nawet rubli za to nie bierze.

Zbliżanie się do ludzi, którym takie wyobrażenie o nimi wkładano w głowy, nie było zatem wskazane.

Przy sposobności przechadzki oglądaliśmy miejsce egzekucyi. Między ścianą więzienia, a murem granicznym był kącik może na 10 kroków szeroki, a na 15 głęboki. Kąt ten założono dwiema czy trzema deskami, ~~na~~ które podtrzymywały piasek nasypany w odgrodzoną przez nie część miejsca. Deski ~~umocowane były słup~~ opierały się na słupkach, wbitych w ziemię; z tych słupek podpierający zaszalowanie w środku, był większy i sterczał w górę ponad deski. Do koła niego był wykopany dołek ćwierć metra głębokości. Na piasku, przytrzymywanym przez deski, leżały kładzione obok siebie i warstwami na sobie worki wypełnione piaskiem, ~~może ze dwa~~ więcej niż dwa metry nad poziom ziemi. Dna tych worków były widoczne, nakształt pierożków, sprasowanych przez własny ciężar.

Skazańca stawiano w dołku grzbietem do słupka i przywiązywano go, poczem zawiązywano mu oczy. Dołek jest dla dwu przyczyn zrobiony. Ponieważ żołnierze strzelają z odległości czterech kroków, więc chodzi o to, aby czoło skazańca było na wysokości lufy karabinowej, trzymanej w poziomie. Salwę daje naraz czterech żołnierzy – dwaj mierzą w czoło tuż nad brwiami, a dwaj w serce. Ponieważ są to zwykli żołnierze, pełniący służbę straży, ~~więc~~ a doświadczenie wykazało, że w górę ponad poziom nie umieją celować, więc się dla ich bezpieczeństwa obniża skazańca. To pierwszy cel dołka.

Drugim celem jest, aby po oddaniu salwy trup nie przewracał się daleko od słupka i nie krwawił ziemi zbyt szeroko. Przy tem urządzeniu zabity, podtrzymywany przywiązanemi rękami, osuwa się w dołek jakoby na kolana i rzadko kiedy wyrzuci roztrzaskaną głowę poza obręb dołka. Takie wypadki również się zdarzały. Wtedy zasypywano krew piaskiem.

Raz jakiś skazaniec rzucał się mocno po salwie i obryzgał

krwią słupek i deski – to je nazajutrz pochlapano wapnem.
Umieszczony za słupkiem tracenia piasek wyławia kule wystrzelone, które mogłyby być szkodliwemi przez odbicie się od muru.

Oglądaliśmy więc z zainteresowaniem to miejsce stracenia. Toż może niebawem i ja tam stanę.

Wrażenie tego miejsca jest brzydkie. Nie umiem tego krótko scharakteryzować, bo wyrazy narzucające się są tragiczne, górne, wielkie w swojej straszliwości i przez to nie oddają tego wrażenia. Na widok tego miejsca nie przerażenie i zgroza, ale obrzydliwość i wymioty zbierają człowieka. Mnie przynajmniej.

Pierwszym rysem jest bezceremonialność, która wygląda na zupełne lekceważenie życia i człowieka w ogóle. Gdy w średnich wiekach wznoszono szafot, obijano go czerwonem suknem i wogóle zabierano się do zabicia człowieka z pewnemi przygotowaniami i ceremoniami, dawano do zrozumienia, że władze karzące wiedzą co się dzieje w sercu skazańca, że odczuwają iż dla niego to jest koniec świata, największa i najstraszniejsza chwila. Pompa potwierdzała, że sędziowie zdają sobie sprawę z tego co zarządzili, że stawiają się w położeniu skazanego, że są ludźmi. Odbieranie życia było uznane za akt tak wielki, tak ważny iż dokonywano go z pompą, która to uzmysławiała.

Teraz całkiem inaczej. Deski stare, zakupione z jakiegoś rozebranego rusztowania i słupek nieheblowany, oto cały strój. Patrząc na to nie można wstrzymać się od przypuszczenia, że wykonanie tych urządzeń polecono jakiemuś podoficerowi z wyraźnem zastrzeżeniem, że aus Sparsamkeitsrücksichten powinien deski i słupki kupić na licytacyi. Nie ma śladu, żeby pomyślano przytem o skazańcu, o tem, że mu się odbiera największy skarb nie do nagrodzenia i że on to czuje, ale zarazem czuje, iż ci, którzy mu życie odbierają, wiedzą i czują, co robią.

Tej myśli, tego uczucia nie uświadczy w owych urządzeniach. Wygląda to tak biurokratycznie, tak bezmyślnie, tak bezosobowo, że człowiek wstydzi się należeć do XX wieku, w którym ludzie tak mało są ludźmi.

Wyrok śmierci wygląda dzisiaj na zarządzenie, równoznaczne z nakazem tępienia pokrzywy. Wydało się zarządzenie, niższe organa je wykonają. Nie ma śladu, żeby sędziowie, zarządcy więzienia, ustawodawcy mieli ochotę na chwilę wmyślić się w stan duszy skazańca, człowieka takiego samego jak oni i mającego do życia takie same prawa jak oni.

Średniowieczne ceremonie z ostatnią obfitą wieczerzą dla skazańca, nawet z dziewczyną dla rozkoszy, składały dowód, że całe społeczeństwo z sędziami razem stawia się w położeniu skazańca, rozumie i odczuwa co to znaczy ostatnia chwila człowieka, że wszyscy czują się ludźmi, że ich człowieczeństwo wzdryga się przed aktem, wymaganym przez sprawiedliwość, to też pragną mu te ostatnie chwile umilić, bo to ostatnie.

Dzisiaj po wydaniu wyroku ~~ze~~ skazaniec jako człowiek nic już nie obchodzi społeczeństwa i sędziów. Nie oni, lecz paragraf przez ich usta wydał wyrok, a biurokratyzm go wykona. Najważniejsza rzecz, żeby wydatków przy tem nie było. Oddaje się skazańca więziennym władzom, a te zrobią z nim koniec tanio a sprawnie. Skazaniec ma żonę, dzieci — oneby krew ojca pozbierały z ziemi, ~~[illegible]~~ całowałyby miejsce nią przesiąknięte — Nie potrzeba. Krew przysypie się piaskiem, a deszcz sprzymierzeniec, największy zacieracz śladów, a później zaś zwłoki skazańca rzuci się do bezimiennego dołu. Rodzinie stanowczo się ich nie wydaje.

Jest to zatem zaparcie się wszelkich uczuć ludzkich i zaprzeczanie ludziom prawa do tych uczuć. Tak orzekł prawodawca z hemoroidami